



WOJCIECH ŚLIWERSKI

*Czytelnikom, współpracownikom, korespondentom
i wszystkim bohaterom harcerskich publikacji*

RÓŻNE OBLICZA HARCERSTWA

**ŚLADY WYDARZEŃ UJĘTE W FORMIE FELIETONÓW, REPORTAŻY
I INNYCH FORM DZIENNIKARSKICH**

impuls

© Copyright by Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2011

Redakcja wydawnicza:
Izabela Rutkowska

Ilustracje:
Ryszard Druch
Adam Hanuszkiewicz
Piotr Olszówka

Opracowanie typograficzne:
Sylvia Kucharska

Projekt okładki:
Ewa Beniak-Haremska

Fotografie z archiwum Autora

ISBN 978-83-7587-340-5

Oficyna Wydawnicza „Impuls”
30-619 Kraków, ul. Turniejowa 59/5
tel. (012) 422-41-80, fax (012) 422-59-47
www.impulsoficyna.com.pl, e-mail: impuls@impulsoficyna.com.pl
Wydanie I, Kraków 2011

Spis TREŚCI

Wstęp	9
Konflikty i intrygi	11
Jak długo pod wiatr?	17
Jak zrobić karierę?	27
Falstart	33
Samotny i niepotrzebny	41
Obcy	49
Stworzony do klęski	57
Za burtą	65
Konflikt	73
Ofiara	85
Dokąd? (Pełen luz i „trzymanie za mordę”)	93
Straż praw	103
Oblicza harcerstwa	119
Harcerska obrzędowość	141
Złodziejka?	147
Zawieszony	155
Skandal!	161
Ja rezygnuję	171
Cisza	177
Bez happy endu	183
Szukam zastępu	189

Spis treści

Nie wierzę w zastępy	199
Zastęp zastępowych	205
Pozwólcie nam równać do najlepszych	213
Minimalizm?	219
Zakalec z kształceniowej piekarni	225
Komu granatowy sznur?	233
Ogromne materii pomieszenie	243
Chciałabym i boję się... ..	251
Siódme „Nie kradnij”	255
Rysy na kryształach	259
Na rozdrożu	265
Lepiej – ORSKI po II plenum	271
Instruktorska awangarda?	277
Sens istnienia SKI	285
Gdzie jest kodeks?	293
Historia ludzkich tragedii	301
Przez dziurkę od klucza... wiolinowego	309
Dziesięciolecie bałajek	315
Wieczór baśni	321
Animatorzy pomocy psychologicznej	327
W niewoli marzeń	335
Generał Sikorski i harcerze. Nieznane dokumenty	343
W cieniu bohaterów	349
Zbiórka jaka jest, każdy widzi – czyżby?	358
Sygnaly	363
Wykorzystać szansę	365
Odznaki	367
Błoga cisza	370
Oświadczenie	372
Lista nonsensów	375

Spis treści

Kukulcze jajo	378
Niespokojnie spokojni turyści	381
Kara trzech menażek	384
Szok	387
Umówmy się: jest dobrze	390
Sąsiad sąsiadowi wilkiem	393
Punki, wynocha!	396
Kara	398
Próba „Łącznika”	400
Oszuści w mundurach	402
Różne oblicza harcerstwa	405
W głowie się nie mieści	409
Zabawa w sejmik	413
Postawy	416
Krąg śpiących instruktorów	419
Piorunujące metody	422
Harcerstwo na planszy	425
Nawiedzony	428
Wydawniczy „hibernatus”	432
Autor! Autor!	435
Harcerstwo prawdziwe	439
Portfel	442
Pasożyt	445
W hufcu	448
A jednak żal... ..	451
Nie pracuj w instancji	455
Kto się boi Arsenału?	458
Frontalna „lipa”	461
Nie wystarczy robić słusznie	467
Uwaga, zboczenie!	470

Spis treści

Zanim podejmiesz decyzję...	473
Karuzela seksualna	476
Harcerski bestseller	480
Harcerska Poradnia Metodyczna „Impuls”	485
Jeśli potrzebujesz pomocy, napisz!	495
Pomóc potrzebującym	501
Potrzebujesz pomocy... napisz	509
Jest taki ruch...	517
Podstawy harcerskiego poradnictwa	523
Drużynowi – przed plenum Rady Naczelnej ZHP	533
Wbrew Prawu i poza Prawem	543
Reportaż nieobiektywny	559
Pudrowanie wrzodu	591
Miejsce dla emeryta	597
Kim jesteś?	603
O autorze	613
Aneks	623

WSTĘP

Książka ta dokumentuje moją wieloletnią współpracę z prasą harcerską oraz pracę dziennikarską w redakcjach „Motywów”, „Drużyny” i „Harcerza Rzeczypospolitej”. Wszystkie reportaże, felietony i inne formy dziennikarskie były publikowane w wymienionych pismach w latach 1970–1991. Dlaczego je przypominam? Z wielu powodów.

Po pierwsze, są w nich ślady wydarzeń właściwych czasom, w których powstawały; warto przypomnieć choćby te, które opisują trzy istotne dla przeobrażeń harcerstwa zjazdy: VII, VIII i IX/XXVI. Literatura harcerska ostatnich lat wzbogaciła się o publikacje różnych komisji historycznych, autorów z ruchów opozycyjnych wobec Związku Harcerstwa Polskiego czy Instytutu Pamięci Narodowej, opracowania naukowe (prace magisterskie, doktorskie itp.) czy wspomnieniowe byłych naczelników ZHP. Ta książka pokazuje harcerstwo przez pryzmat losów indywidualnych bohaterów reportażu, felietonów czy obserwacji dziennikarskiej. Ich treścią najczęściej są patologie harcerskiej służby i życia organizacji...

Po drugie, żywot publikacji prasowych jest niezwykle krótki. Kiedy ukazują się kolejne numery tygodnika czy miesięcznika, wcześniejsze giną w niepamięci. Czas przeobrażeń polityczno-społecznych dodatkowo zatarł ślady publikacji. Żadne z wymienionych pism już nie istnieje. Jako ostatni przestał się ukazywać w formie drukowanej „Harcerz Rzeczypospolitej”^{*}.

Po trzecie, zawarte w książce teksty dotyczą bardzo intensywnego okresu mojego życia, w którym praca dziennikarska była nierozzerwalnie związana z aktywną służbą instruktorską. Zakończenie obu nastąpiło z chwilą likwidacji Harcerskiej Oficyny Wydawniczej w Krakowie przez władze Związku (jej właściciela) na przełomie 1991 i 1992 roku. Wówczas, podobnie jak niektórzy z opisywanych przeze mnie bohaterów, znalazłem się w trudnej sytuacji życiowej z drukiem rozwiązującym umowę o pracę w kieszeni i bez szans na podjęcie zatrudnienia, bez żadnej pomocy i nadziei na przyszłość, bez możliwości pożegnania się z czytelnikami, bohaterami artykułów i innych publikacji harcerskich, współpracownikami, korespondentami itd. Ta książka jest więc formą podziękowania im za to, że byli ze mną w tamtych latach, za ich czas poświęcony wydawnictwu i pismu oraz wpływ na jego kształt i treść.

Nieprzypadkowo książka zawiera tak wiele ilustracji. To także przypomnienie i podziękowanie dla wspaniałych grafików: Adama Hanuszkiewicza, Ryszarda Drucha

^{*} Wychodził do grudnia 1991 roku. Ponieważ nie dotarłem do wersji drukowanych kilku artykułów, w publikacji znalazły się te z domowego archiwum, opatrzone przybliżonym terminem, w którym mogły się ukazać. Wśród tekstów pochodzących z „Motywów” ze względów praktycznych zamieściłem jako ilustrację jedną winietę tygodnika, choć w tamtych latach była ona kilka razy zmieniana. W podpisach pod poszczególnymi artykułami odkrywam używane w niektórych sytuacjach pseudonimy.

Wstęp

i Andrzeja Orłowskiego za ich wpływ na kształt wydawanych pism i publikacji, przygotowywanych pod opieką profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Andrzeja Zięblińskiego.

Dziękuję także harcmistrzowi Piotrowi Niwińskiemu za wiele lat wspólnej pracy, rozmów i dyskusji o harcerstwie, miesięczniku czy wydawnictwie, za inspiracje i pomoc w kontaktach z branżą drukarską i edytorską. Szkoda, że władze harcerskie nie umiały (nie chciały...) wykorzystać wiedzy, umiejętności i zdolności Piotra z pożytkiem dla wydawniczego ruchu harcerskiego...



Nie byłoby tej publikacji, gdyby nie śp. Redaktor Naczelna, harcmistrz Jolanta Chelstowska, prowadząca w latach 1965–1990 kolejno: miesięcznik „Propozycje”, tygodnik „Motywy” i tygodnik „Drużyna”, autorka wydawnictw harcerskich. Jej wpływ na kształt prasy harcerskiej i zmiany harcerstwa nie zostały właściwie ocenione. Wyrzutem „sumienia” władz harcerskich pozostanie to, w jaki sposób rozstały się z redaktorem Jolantą Chelstowską i prowadzonym przez nią pismem.

To zaledwie jeden z wielu przykładów zjawiska, które tak ujął w swojej książce Jerzy Chrabąszcz, zastępca Naczelnika ZHP w latach 1989–1990:

Zjawisko to polegało na odpływie ze Związku relatywnie znaczącej grupy instruktorów z najdłuższym stażem, a jednocześnie największym doświadczeniem. Obserwując ten proces [...], trudno oprzeć się stwierdzeniu, że organizacja utraciła w tym okresie znaczną część swojej najlepszej kadry instruktorskiej (*Harcerze gorszego boga*, Toruń 2005, s. 161–162).

Dlaczego? Odpowiedzi warto szukać w licznych publikacjach. Także w tej książce.

Niestety, gdy sprzyjają
okoliczności, nigdy nie
brak cwaniaków, takich,
którzy szukają iżejszego
życia...



*Konflikty
i intrygi*



4 strona „MOTYWY” 10 MARCA 1974 r

TEMAT DO DYSKUSJI

KONFLIKTY I INTRYG

Historia to jest odzwierciedleniem wydarzeń, które miały miejsce w ośrodku harcerskim, działającym w duchu mełowejdzkim.

A było to tak... Na podsumowaniu Akcji Letniej '72 drużna Ewa odświadczyła, że już nigdy nie pojedzie na obóz z drużną Adamem — komendantem obozu, a zarazem komendantem ośrodka, w którym jeden ze szczepów prowadziła dhna Ewa.

Komendant zapamiętał te wypowiedzi i wykorzystał w pół roku później, kiedy zaczęły się przygotowania do akcji letniej '73. Po prostu odrzucił propozycję Ewy, która chciała prowadzić obóz w jego ośrodku. W tej sytuacji szczepowa postanowiła wyliczyć szczep z ośrodka, aby polecać jako komendant obozu organizowanego przez hufiec.

Sprawa wydawała się prosta. Zarówno ośrodek, jak i hufiec, nie miały nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Drużna Ewa załatwiła miejsce na obóz gdzie indziej, rozpisując wśród harcerki i harcerzy swojego szczepu — że nie podobała im się o-

środek prowadzący tę drużną drużna Maćka wiadomości o odejściu szczepu od ośrodka i zmianie miejsca obcowania dotarły za pośrednictwem harcerzy. Wkrótce otrzymał wezwanie do szkoły, od szczepowej. Zapoznając go ze swoją decyzją, uzasadniając ją między innymi tym, że:

● W ośrodku nie doceniali jego pracy i pracy drużyny, pomniejszając jej sukcesy na rzecz drużyny żeńskiej, w innej szkole, prowadzonej przez żonę komendanta. W związku z powyższym przyznawano mu zbyt rzadko nagrody pieniężne, co oczywiście zmieniło się na lepsze po odejściu drużyny.

● Gdyby Maćka dostał się na studia i nie miał czasu na prowadzenie drużyny, to ona załatwiła, że będzie nadal otrzymywał nagrody.

Były to główne propozycje, nie licząc wyjazdów instruktorów na wycieczki zagraniczne dla najlepiej pracujących drużynowych i asystującego awansu w stopniach instruktorów. Ponieważ Maćka nie godził się z decyzjami szczepowej, otrzymał następującą alternatywę: jeśli namyślił się i zgodził na odejście całego szczepu od ośrodka — zastrzeżenie: jeśli nie — musi-

komendanta hufca, by wyłumaczyć swoje „oportunistyczne” stanowisko.

Na radzie hufca, po ostrej wymianie zdań między komendantem ośrodka a szczepową, sprawę przekazano do rozstrzygnięcia na najbliższej odprawie rady ośrodka, z udziałem komendanta hufca, który po zakończeniu rady przedstawił w tej sprawie oficjalne stanowisko.

Tymczasem w szczepie panował kompletny chaos. Na regularnie odbywających się zbiórkach drużyny żeńskiej harcerze byli informowani, że jedzą na obóz z ośrodkiem. Harcerki i harcerze chodzący do klas, w których uczyła szczepowa, a także ze rodzice na zebraniach zostali przez nią zawiadomieni, że młodzież jedzie na obóz organizowany przez hufiec oraz że od następnego roku harcerskiego nastąpi zmiana drużynowego drużyny żeńskiej.

Zbiórka szczepu nie było do wakuacji, a zbiórki drużyny żeńskiej i ruchowych odbywały się bardzo rzadko, pozostawiając zresztą wiele do życzenia.

Nadchodził termin odprawy rady ośrodka. Stawiła się cała kadra instruktorów, zaś komenda hufca reprezentowała... zastępczyni komendanta.

drużynowe, nie miały żadnych rozsądnych uzasadnień, aby zrezygnować ze współpracy z ośrodkiem.

Zadziwiałe było zachowanie szczepowej. Przez cały czas obwołanie przegadła kalendarzy, nie reagując na żadne argumenty. W tej sytuacji instruktorzy zwrócili się do przedstawicieli komendy hufca o opinię, jak rozważyć ten konflikt.

Odpowiedź była szokująca. Oszaleło się, że cała dyskusja była zbędna, gdyż przedstawicielka komendy hufca przywołała gołąwą decyzję, która ujęwała dopiero pod koniec odprawy: „Komenda hufca uważa, że w przypadku niewyrażenia zgody przez drużną Maćka na odejście szczepu od ośrodka, musi on opuścić od września drużynę”.

Decyzja ta wywołała fałę oburzenia. Komendant ośrodka zastrzegł potwierdzenia jej na piśmie, aby szukać sprawiedliwości w wyższych instancjach. W związku z tym drużna zastępczyni komendanta zaproponowała znalezienie innego rozwiązania. W toku dalszej dyskusji postanowiono, że szczep do września będzie nadal w ośrodku i razem z nim weźmie udział w akcji letniej, podczas której drużna Ewa powinna przekonać się i zachęcić do współpracy z ośrodkiem. Drużna Ewa jednak od razu zastrzegła, że swojej decyzji nie zmieni nawet po akcji letniej.

Ośrodek zaczął przygotowywać się do lata. Szczepowa robiła wszystko, aby jej obóz nie doznał do skutku. Nie interesował ją plan pracy obozu, którego miała być komendantką, ani nabor kandydatów. Panował kompletny chaos, nie wiadział gdzie jedzie, z kim, komi należy wpłacić pieniądze. Do pogłębienia bałaganu przyczyniła się kolejna odprawa, na której Ewa zrezygnowała z prowadzenia szczepu i zwiniała z funkcji dotychczasowe drużynowe. To jej odprawę nie nie wiedział Maćka. Jednocześnie szczepowa odświadczyła w szkole, że w ogóle nie jedzie na obóz (została zwolniona przez kom. hufca, ponieważ nie wykonywała obowiązków komendanta obóz przez całą letnią).

Tak więc cześć obowiązków organizatorskich, związanych z wyjazdem młodzieży spadała na barki drużynowego, który mimo zjawania matury, a także egzaminów na wy-

tłumaczyć, zachęcać, przy tym uczęszczał na kurs dla komendantów obozów, opracował plan pracy wiosennego obozu itp. itd.

O tym, żeby mógł liczyć na pomoc kogokolwiek ze szczepu, nie było mowy. W efekcie na obóz wyjechało kilkanaście dziewcząt zamiast planowanych trzydziestu.

Wrzesień: w nowym roku szkolnym pracę zaczyna tylko drużna Maćka. Dyrekcja szkoły nie wie, kto będzie pełnił funkcję szczepową, natomiast komendant ośrodka nie wie, że drużna Ewa zrezygnowała z funkcji szczepowej, a także nie wie zmian, dokonanych przez nią w kadry pozostałych drużyn.

Komenda hufca, na wniosek komendy ośrodka, na funkcję szczepową powołuje dotychczasowego drużynowego — Maćka.

Zgodnie z tradycją drużynową, w porozumieniu z dyrektorem szkoły, domagał się formalnego przekazania szczepu. Miał się ono odbyć na apelu szkolnym. Nie doszło do tego, ponieważ jak stwierdziła Ewa: „Nie będzie przy całej szkole urządzać egiptu”. W tym samym czasie została ona opłakana przez szczep (o czym szczepowa i komenda ośrodka dowiedzieli się dopiero w październiku).

Drużna Ewa bardzo „trokistliwa” zapiekowała się szczepem, zabierając nową drużynową ok. 30 harcerów do założonego przez siebie przy hufcu harcerskiego zespołu artystycznego. Miała pozwolenie na werbowanie po kilka osób z każdej szkoły. Szkoła, w której pracowała i „opiekowała” się szczepem widocznie miała same uśmiałowne dziewczęta. Cóż znaczący projekty zbierać młodej drużynowej wobec parskających nagranych w TV, radio, wyjazdów zagranicznych itp., jakie rozstrzygała przez harcerkami drużna Ewa.

Między harcerkami należącej do zespołu artystycznego a należącej do macierzystej drużyny wytworzyła się wroga atmosfera, pogłębiona przez Ewę, która nawet swoje lekcje wykonywała, by podważyć autorytet kadry szczepu. Nie sposób wymienić tu wszystkie fakty, gdyż każdy tydzień przynosił „coś” nowego.

A czym to się skończy i kiedy? Nie wiadomo.

WALERIA

Historia ta jest odzwierciedleniem wydarzeń, które miały miejsce w ośrodku harcerskim działającym w dużym mieście wojewódzkim.

A było to tak...

Na podsumowaniu Akcji Letniej 72 drużna Ewa oświadczyła, że już nigdy nie pojedzie na obóz z drużem Adamem – komendantem obozu, a zarazem komendantem ośrodka, w którym jeden ze szczepów prowadziła drużna Ewa.

Komendant zapamiętał tę wypowiedź i wykorzystał pół roku później, kiedy zaczęły się przygotowania do Akcji Letniej 73. Po prostu odrzucił propozycję Ewy, która chciała prowadzić obóz w jego ośrodku. W tej sytuacji szczepowa postanowiła wyłączyć szczep z ośrodka, aby pojechać jako komendant obozu organizowanego przez hufiec.

Sprawa wydawała się prosta. Zarówno ośrodek, jak i hufiec nie miały nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Drużna Ewa załatwiła miejsce na obóz gdzie indziej, rozgłaszając wśród harcerek i harcerzy swojego szczepu, że nie podlegają już ośrodkowi, a na obóz pojedą z hufcem. O decyzjach wiedziała więc już i młodzież, i hufiec, teraz przyszła kolej na kadrę. Drużynowa jednej z dwóch działających przy szkole żeńskich drużyn aprobowwała decyzję szczepowej, gdyż ze względu na palenie papierosów nie miała w ośrodku możliwości dalszego awansu. Druga drużynowa, jako osoba nieorientowana, sama słabo wykonująca swoje obowiązki, również decyzję tę przyjęła bez oporów. Pozostał drużynowy drużyny męskiej.

I tu zaczęły się pierwsze kłopoty, konflikty, intrygi. Była to bowiem jedyna drużyna w szczepie działająca **naprawdę**, która wiele sukcesów i osiągnięć zawdzięczała współpracy z ośrodkami, a we współzawodnictwie między drużynami modszoharcerskimi od dwóch lat zajmowała w ośrodku zdecydowanie pierwsze miejsce.

Do prowadzącego tę drużynę druha Maćka wiadomości o odejściu szczepu od ośrodka i zmianie miejsca obozowania dotarły za pośrednictwem harcerzy. Wkrótce otrzymał od szczepowej wezwanie do szkoły. Zapoznała go ze swoją decyzją, uzasadniając ją między innymi tym, że: „W ośrodku nie doceniają jego pracy i pracy drużyny, pomniejszając jej sukcesy na rzecz drużyny żeńskiej, prowadzonej przez żonę komendanta w innej szkole. W związku z powyższym przyznawano mu zbyt rzadko nagrody pieniężne, co oczywiście zmieni się na lepsze po odejściu drużyny”. „Gdyby Maciek dostał się na studia i nie miał czasu na prowadzenie drużyny, to ona załatwi, że będzie nadal otrzymywał nagrody”.

Były to główne propozycje, nie licząc wyjazdów instruktorskich na wycieczki zagraniczne dla najlepiej pracujących drużynowych i szybszego awansu w stopniach instruktorskich. Ponieważ Maciek nie godził się z decyzjami szczepowej, otrzymał następującą alternatywę: jeśli namyślisz się i zgodzisz na odejście całego szczepu od ośrodka – będziesz dalej drużynowym, jeśli nie – musisz sobie poszukać innej drużyny do prowadzenia.

Odpowiedź miał dać na odprawie rady szczepu (pierwszej w związku z tą historią), która odbyła się w mieszkaniu Ewy. Zebrani zostali powiadomieni o sprawie. Dla formalności wszyscy mieli podpisać zgodę na odłączenie szczepu od ośrodka.

Maciek został postawiony przed faktem dokonanym. Ponieważ nadal protestował, szczepowa, by go przekonać, używała argumentów podważających autorytet komendanta ośrodka, starając się poróżnić z nim drużynowego.

Wkrótce po odprawie Maciek udał się do komendanta, żeby wyjaśnić kwestie dotyczące ich obu, o których mówiła szczepowa. Komendant wszystkiemu zaprzeczył, a sprawę przekazał do wyjaśnienia radzie hufca.

Maciek został wezwany przez komendanta hufca, by wytłumaczyć swoje „oportunistyczne” stanowisko.

Na radzie hufca, po ostrej wymianie zdań między komendantem ośrodka a szczepową, sprawę przekazano do rozstrzygnięcia na najbliższej odprawie rady ośrodka, z udziałem komendanta hufca, który po zakończeniu rady miał przedstawić w tej sprawie oficjalne stanowisko.

Tymczasem w szczepie panował kompletny chaos. Na regularnie odbywających się zbiórkach drużyny męskiej harcerze byli informowani, że jadą na obóz z ośrodkiem. Harcerki i harcerze chodzący do klas, w których uczyła szczepowa, a także ich rodzice na zebraniach zostali przez nią zawiadomieni, że młodzież jedzie na obóz organizowany przez hufiec oraz że od następnego roku harcerskiego nastąpi zmiana drużynowego drużyny męskiej.

Zbiórek szczepu nie było do wakacji, a zbiórki drużyn żeńskich i zuchowych odbywały się bardzo rzadko, pozostawiając zresztą wiele do życzenia.

Nadszedł termin odprawy rady ośrodka. Stawiła się cała kadra instruktorska, zaś komendę hufca reprezentowała zastępczyni komendanta. Rozpoczęła się burzliwa dyskusja. Zarówno szczepowa, jak i drużynowe nie miały żadnych rozsądnych uzasadnień, aby zrezygnować z dalszej pracy w ośrodku.

Zdziwiająco było zachowanie szczepowej. Przez cały czas obojętnie przeglądała kalendarzyk, nie reagując na żadne argumenty. W tej sytuacji instruktorzy zwrócili się do przedstawiciela komendy hufca o opinię, jak rozwiązać ten konflikt.

Odpowiedź była szokująca. Okazało się, że cała dyskusja była zbędna, gdyż przedstawicielka komendy hufca przywiozła gotową decyzję, którą ujawniła dopiero pod koniec odprawy: „Komenda hufca uważa, że w przypadku niewyrażenia zgody przez druha Maćka na odejście szczepu od ośrodka musi on opuścić od września drużynę”.

Decyzja ta wywołała falę oburzenia. Komendant ośrodka zażądał potwierdzenia jej na piśmie, aby szukać sprawiedliwości u wyższych instancji. W związku z tym drużna-zastępczyni komendanta zaproponowała znalezienie innego rozwiązania. W toku dalszej dyskusji postanowiono, że szczep do września będzie nadal w ośrodku i razem z nim weźmie udział w akcji letniej, podczas której drużna Ewa powinna przekonać się i zachęcić do dalszej pracy w ośrodku. Drużna Ewa jednak od razu zastrzegła, że swojej decyzji nie zmieni, nawet po akcji letniej.

Ośrodek zaczął przygotowywać się do lata. Szczepowa robiła wszystko, aby jej obóz nie doszedł do skutku. Nie interesował jej plan pracy obozu, którego miała być komendantką, ani nabór kandydatek. Panował kompletny chaos, nikt nie wiedział, gdzie jedzie, z kim, komu należy wpłacać pieniądze. Do pogłębienia bałaganu przyczyniła się kolejna odprawa, na której Ewa zrezygnowała z prowadzenia szczepu i zwolniła

z funkcji dotychczasowe drużynowe (o tej odprawie Maciek nic nie wiedział). Jednocześnie szczepowa oświadczyła w szkole, że w ogóle nie jedzie na obóz (została zwolniona przez komendę hufca, ponieważ nie wykonywała obowiązków komendanta obozu przed akcją letnią).

Tak więc część obowiązków organizatorskich związanych z wyjazdem młodzieży spadła na barki drużynowego, który mimo zdawania matury, a także egzaminów na wyższe studia musiał przyjmować wpłaty (także od dziewcząt), wyjaśniać, tłumaczyć, zachęcać, przy tym uczęszczać na kurs dla komendantów obozów, opracować plan pracy własnego obozu itp., itd.

O tym, żeby mógł liczyć na pomoc kogokolwiek ze szczepu, nie było mowy. W efekcie na obóz wyjechało zamiast planowanych trzydziestu kilkanaście dziewcząt.

Wrzesień: w nowym roku szkolnym pracę zaczyna tylko drużyna męska. Dyrekcja szkoły nie wie, kto będzie pełnił funkcję szczepowego, natomiast komendant ośrodka nie wie, że drużna Ewa zrezygnowała z funkcji szczepowej, a także nie zna zmian dokonanych przez nią w kadrze pozostałych drużyn.



Komenda hufca, na wniosek komendy ośrodka, na funkcję szczepowego powołuje dotychczasowego drużynowego – Maćka.

Zgodnie z tradycją drużynowy, w porozumieniu z dyrekcją szkoły, domagał się formalnego przekazania szczepu. Miało się ono odbyć na apelu szkolnym. Nie doszło do tego, ponieważ, jak stwierdziła Ewa „[...] nie będzie przy całej szkole urządzić cyrku”. W tym samym czasie została ona opiekunem szczepu (o czym szczepowy i komenda ośrodka dowiedzieli się dopiero w październiku).

Drużna Ewa bardzo „troskliwie” zaopiekowała się szczepem, zabierając nowej drużynie ok. 30 harcerek do założonego przez siebie przy hufcu harcerskiego zespołu artystycznego. Miała pozwolenie na werbowanie po kilka osób z każdej szkoły. Szkoła, w której pracowała i „opiekowała” się szczepem, widocznie miała same utalentowane

dziewczęta. Cóż znaczyły projekty zbiorów młodej drużynowej wobec perspektyw nagrania w TV, radiu, wyjazdów zagranicznych itp., jakie rozwijała przed harcerkami druhna Ewa...?

Między harcerkami należącymi do zespołu artystycznego a należącymi do macierzystej drużyny wytworzyła się wroga atmosfera, pogłębianą przez Ewę, która wykorzystywała nawet swoje lekcje, by podważyć autorytet kadry szczepu. Nie sposób wymienić tu wszystkich faktów, gdyż każdy tydzień przynosi coś nowego.

A czym to się skończy i kiedy? Nie wiadomo.

Bogusław i Wojciech Śliwerscy



Od redakcji

Ambicje i ambicjki, drobne rozgrywki między instruktorami urastają do rangi konfliktu. Niepokoją tu co najmniej dwie sprawy i dlatego ten artykuł poddajemy pod rozagę Czytelnikom:

– Społeczni działacze, którzy swój czas poświęcają organizacji zamiast osiągać satysfakcję, są rozgoryczeni, czują się pokrzywdzeni. Mają swoje racje, ale dlaczego nie znajduje się ktoś, kto potrafi rozwikłać sprawę szybko i zdecydowanie, zapobiegając dalszemu pogłębianiu się nieporozumień? Dlaczego wyższe instancje odpowiedzialne za sytuację na swoim terenie, zobowiązane do tego, by właśnie społecznym działaczom tworzyć najkorzystniejsze warunki pracy, nie potrafią spełniać swojej roli?

– Drugi problem to sytuacja harcerek i harcerzy, którzy są wciągani w nieporozumienia między instruktorami. Co gorsza – w dyskusjach, rozważaniach i w podejmowanych decyzjach w ogóle nie bierze się pod uwagę dobra wychowanków. Bo czy wolno podejmować decyzję, że jeśli Maciek nie zgodzi się na odejście szczepu z ośrodka, musi zmienić drużynę? Przecież dobry drużynowy to przywódca, z którym harcerze żyją, związani są z nim nie tylko formalnie. Chcemy przecież, by drużynowy przez kilka lat przewodził harcerzom, kształtował zespół, samodzielność, samorządność itp. Banały? Niestety. Ale co robić, gdy działacze nie rozumieją tych podstawowych zasad organizacji? Zaczynają manipulować członkami Związku jak kiepscy urzędnicy papierkami, które można bez straty przenieść z jednego segregatora do drugiego.

Nad tym naprawdę warto dyskutować. Zapraszamy na nasze łamy.

10 marca 1974 roku

Stuchając go,
sam czuję wzbierającą
gorycz i wzburzenie...

jak długo
pod wiatr?



motyw

TYGODNIK ZWIĄZKU HARCESTWA POLSKIEGO

NR 1 (938) 9 STYCZNIA 1977 r. ROK XXVII CENA 2,50 zł.

Jak długo pod wiatr?

Na rozmowę z Marianem zostało mi tylko kilka godzin, tyle bowiem czasu dzieliło mnie od odjazdu pociągu. To niewiele, jeżeli rozmowa dotyczy jubileuszu dziesięciolecia pracy harcerskiej, której koronowaniem jest rozpacza, zalanie, wewnętrzna rozterka i podjęta niemal decyzja o rezygnacji z dotychczasowej działalności, która do tej pory były sensem i asją jego życia.

Jak wygląda? Wysoki, szczupły, o ciemnych włosach niesforne kręcących się nad zółtym, bystrym spojrzeniem i lekko sygnalizującym się wąsami. Gdy do tego dodać ujmujący sposób bycia, szczerość, otwartość, uśmiech, a także łatwość nawiązywania kontaktów i charakterystyczną nerwową achliwość oraz ujmujący uśmiech, to wszystkie te elementy złożyły się na zarys jego sylwetki.

Tym razem nie uśmiecha się, nawet nie śrzy w moją stronę. Jest mu ciężko, toż z trudem tłumi gorzkość i narastający ból. Słowa, które wypowiada kieruje nie tylko do mnie, ale i do siebie, tak jakby chciał powiedzieć sobie po raz któryś z zędu, że to już ponad jego siły.

— Mam już naprawdę dosyć. Jak długo można walczyć z ciętymi zarzutami o toż kierunku i niechęcią ze strony hufca. Nic mi nie zarzucają uprost, bo swoją działalnością nie daję im do tego powodu, ale robią to poza moimi plecami.

Rozumiem go doskonale i zbyt dobrze mam Mariana i jego działalność, by cokolwiek mówić w tej chwili. Jakikolwiek łowa byłyby niepotrzebne. On sam musi ożegnać tę partię i zdecydować o tym, a będzie dalej, tym bardziej, że nie po pierwszy staje przed problemem rezygnacji z działalności harcerskiej kosztem własnych ambicji i satysfakcji, na przekór przeciw wszystkim, w imię wiary w prawdę i uczciwość, licząc że coś się zmieni. Jak długo jednak ideały, wiary, nadzieje, energie, zapal i efekty codziennej pracy można przeciwstawiać obłudzie, zawiści, ograniczeniom, krótkowzroczności czy niezrozumiałemu postępowaniu władz hufca?

Do harcerstwa wstąpił w tej klasie szkoły podstawowej, trafiając do drużyny, której kadre tworzyli zapaleńcy wierzący w ideały określone przez statut i

Prawo harcerskie, i wcielający je w życie w codziennej działalności. Doświadczenie zdobywał pełniąc po kilka lat kolejne funkcje, do szczepego włącznie, jeżdżąc na kursy, obozy, zimowiska. Teoretyczną podbudowę stanowiły studia. Nie przypadkowo zdawał na pedagogikę. Wybór tego kierunku dawał szansę poszerzenia i wzbogacenia zdobytej wiedzy i doświadczenia, stwarzał możliwość kontynuacji pracy z młodzieżą również w przyszłości. Pierwszą próbą dla niego było objęcie drużyny. Przejmował ją po dobrym i lubianym drużynowym, natrafiając na nieufność, ostrą i krytyczną ocenę każdego działania, a niekiedy wrogość. Mimo tego potrafił zjednać sobie chłopców, zainteresować, pociągnąć za sobą i wspólnie z nimi sięgnąć po sukcesy. Później w nowo tworzonej ośrodku obejmuje kolejną drużynę o bogatej historii i tradycjach, ale tym razem po pseudo — czy wręcz antyinstruktorach. Jak przekonać młodzież, że będzie inaczej, że poznają smak harcerskiego życia i przyrody? Jak przekonać środowisko i rodziców o wartości harcerstwa? Udało się. Opracowywał coraz ciekawsze zbiórki, przyciągał do drużyny nowych chłopców. Nieustanna praca, szukanie nowych pomysłów, tworzenie ciekawych i urozmaiconych zajęć dało efekty. Wkrótce stali się najlepszą drużyną w ośrodku i jedną z najlepszych w hufcu. W nagrodę dwudziestoosobowa grupa wyjechała za granicę. Marian nawiązał kontakt z komendantem organizacji pionierskiej, który przedniósł na teren szkoły i ośrodka, proponując współpracę i wymianę doświadczeń między bratnimi organizacjami. W tym czasie atmosfera w ośrodku zaczyna się zmieniać. Zona komendanta ośrodka nie może pogodzić się z tym, że jej drużyna jest gorsza od tej, którą prowadzi Marian. W bezpośredniej rywalizacji nie ma szans na pokonanie go, wobec tego zaczynają się przemilczenia je-

rzystali z efektów jego pracy, są oskarżycielami. Apeluje do rady hufca — niewiele to pomaga. Dopiero ingerencja prasy harcerskiej sprawia, że władze zwierzchnie cofają absurdalną decyzję, rozumiejąc, że posunęły się za daleko. Z ośrodka odchodzi szczepepowa. Dyrektor szkoły, harcerze i rodzice wplątani w konflikt oddychają z ulgą, ale Marian nie po raz pierwszy zaczyna wątpić w sprawiedliwość, obiektywność, poszanowanie pracy społecznej i wartości człowieka. Nie zraża się jednak,



Na rozmowę z Marianem zostało mi tylko kilka godzin, tyle bowiem czasu dzieliło mnie od odjazdu pociągu. To niewiele, jeżeli rozmowa dotyczy jubileuszu dziesięciolecia pracy harcerskiej, której ukoronowaniem są rozpacz, załamanie, wewnętrzna rozterka i podjęta niemal decyzja o rezygnacji z dotychczasowej działalności, która do tej pory była sensem i pasją jego życia.

Jak wygląda? Wysoki, szczupły, o ciemnych włosach niesfornie kręcących się nad czołem, bystrym spojrzeniu i sypiącym się wąsie. Gdy do tego dodać ujmujący sposób bycia, szczerość, otwartość, uczciwość, a także łatwość nawiązywania kontaktów i charakterystyczną nerwową ruchliwość oraz czarujący uśmiech, to wszystkie te elementy złożyą się na zarys jego sylwetki.

Tym razem nie uśmiecha się, nawet nie patrzy w moją stronę. Jest mu ciężko, toteż z trudem tłumi gorycz i narastający żal. Słowa, które wypowiada, kieruje nie tylko do mnie, ale i do siebie, tak jakby chciał powiedzieć sobie po raz któryś z rzędu, że to już ponad jego siły: „Mam już naprawdę dosyć. Jak długo można walczyć z ciągłymi zarzutami w moim kierunku i niechęcią ze strony hufca? Nic mi nie zarzucają wprost, bo swoją działalnością nie dają im do tego powodów, ale robią to za moimi plecami”.

Rozumiem go doskonale i zbyt dobrze znam Mariana i jego działalność, by cokolwiek w tej chwili mówić. Jakiegokolwiek słowa byłyby niepotrzebne. On sam musi rozegrać tę partię i zdecydować o tym, co będzie dalej, tym bardziej że nie po raz pierwszy staje przed problemem rezygnacji z działalności harcerskiej kosztem własnych ambicji i satysfakcji, na przekór i przeciw wszystkim, w imię wiary w prawdę i uczciwość, licząc, że coś się zmieni. Jak długo jednak ideały, wiarę, nadzieję, energię, zapał i efekty codziennej pracy można przeciwstawiać obłudzie, zawiści, ograniczeniu, krótkowzroczności czy niezrozumiałemu postępowaniu władz hufca...?

Spoglądam na niego. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata, z tego ponad dziesięć to praca w organizacji, praca, której owoce tworzą bogatą księgę sukcesów. Nie sposób opisywać dziesięciu lat działalności, spróbuję więc w miarę krótko przedstawić najważniejsze etapy jego życia, przeciwstawiając osiągnięciom problemy, które napotykał, a które nawarstwiając się, doprowadziły do tego, że stanął przed problemem odejścia z organizacji.

Do harcerstwa wstąpił w piątej klasie szkoły podstawowej, trafiając do drużyny, której kadre tworzyli zapaleńcy wierzący w ideały określone przez Statut i Prawo Harcerskie i wcielający je w życie w codziennej działalności. Doświadczenie zdobywał, pełniąc po kilka lat kolejne funkcje z funkcją szczepowego włącznie, jeżdżąc na kursy, obozy, zimowiska. Teoretyczną podbudowę stanowiły studia. Nie przypadkowo zdawał na pedagogikę. Wybór tego kierunku dawał szansę poszerzenia i wzbogacenia zdobytej wiedzy i doświadczenia, stwarzał możliwość kontynuacji pracy z młodzieżą również w przyszłości. Pierwszą próbą dla niego było objęcie drużyny. Przejmował ją po dobrym i lubianym drużynowym, natrafiając na nieufność, ostrą i krytyczną ocenę każdego działania, a niekiedy wrogość. Mimo tego potrafił zjednać sobie chłopców, zainteresować, pociągnąć za sobą i wspólnie z nimi sięgnąć po sukcesy. Później w nowo tworzonej ośrodku objął kolejną drużynę o bogatej historii i tradycjach, ale tym razem po pseudo- czy wręcz antyinstruktorach. Jak przekonać młodzież, że będzie inaczej, że

poznają smak harcerskiego życia i przygody? Jak przekonać środowisko i rodziców o wartości harcerstwa? Udało się. Opracowywał coraz ciekawsze zbiórki, przyciągnął do drużyny nowych chłopców. Nieustanna praca, szukanie nowych pomysłów, tworzenie ciekawych i urozmaiconych zajęć dały efekty. Wkrótce stali się najlepszą drużyną w ośrodku i jedną z najlepszych w hufcu. W nagrodę dwudziestoosobowa grupa wyjechała za granicę. Marian nawiązał kontakt z komendantem organizacji pionierskiej, który przeniósł na teren szkoły i ośrodka, proponując współpracę i wymianę doświadczeń między bratnimi organizacjami. W tym czasie atmosfera w ośrodku zaczęła się zmieniać. Żona komendanta ośrodka nie mogła pogodzić się z tym, że jej drużyna jest gorsza od tej, którą prowadzi Marian. W bezpośredniej rywalizacji nie miała szans na pokonanie go, wobec tego zaczęły się przemilczenia jego osiągnięć, pomniejszanie ich wartości itp. Doszło do kłótni pomiędzy komendantem ośrodka a szczepową Mariana. Jej skutkiem był... nakaz hufca i szczepowej, by Marian opuścił drużynę i poszukał sobie innej. Tego nie spodziewał się nikt, dlatego Marian bronił się, mając poparcie oburzonej kadry z innych szczepów należących do ośrodka. Doszło do paradoksu: on jako ten, który dobrze pracował, musiał się bronić i dochodzić swoich praw, a ci, którzy nic nie robili, tylko korzystali z efektów jego pracy, są oskarżycielami. Zaapelował do rady hufca – niewiele to pomogło. Dopiero ingerencja prasy harcerskiej sprawiła, że władze zwierzchnie wycofały absurdalną decyzję, rozumiejąc, że posunęły się za daleko. Z ośrodka odeszła szczepowa. Dyrektor szkoły, harcerze i rodzice wplątani w konflikt odetchnęli z ulgą, ale Marian, nie po raz pierwszy, zaczął wątpić w sprawiedliwość, obiektywność, poszanowanie pracy społecznej i wartości człowieka. Nie zraził się jednak, nie załamał przeszkodami, zresztą był tak zaabsorbowany dalszą działalnością, nauką i obowiązkami domowymi, że nie miał czasu wracać do tamtych spraw.

Prowadzony przez niego szczep (awansował!) nadal cieszył się opinią dobrego, jeśli nie najlepszego, w hufcu. Do sukcesów w Festiwalu Piosenki Harcerskiej, Przeglądzie Mundurowym i innych akcjach hufca doszedł jeszcze jeden związany z wystawą, której tematem była metodyka, styl i działalność bratniej pionierskiej organizacji. Wystawę zorganizowano na terenie miejskiej biblioteki. W pracę nad nią włożył dużo wysiłku, zwożąc połowę materiału z zagranicy i udostępniając własne bogate zbiory. Nikt mu nie pomógł w organizacji, ale sukcesem podzieliły się: hufiec, chorągiew i biblioteka. Odczuł to boleśnie. Satysfakcję przyniosła mu kolejna wystawa, tym razem zorganizowana na terenie pionierów i przy ich pomocy, na której zaprezentował dorobek, strukturę i metody pracy ZHP. Wystawa cieszyła się uznaniem młodzieży i władz miasta. Wkrótce po tym został szczepowym w innym ośrodku tego samego hufca.

Współpraca z dyrektorką i komendantką ośrodka popularnie zwaną „ciotką” układała się dobrze. Ceniły go i znały jego wartość, nic więc dziwnego, że nie napotykał większych trudności. Szczep powoli zyskiwał na znaczeniu, a Marian stał się „filarem” i prawą ręką komendantki ośrodka. Uznanie, które zdobył, i opinia, którą darzyli go inni, jest wynikiem codziennej pracy i inwencji w działaniu. W trakcie przygotowań do akcji letniej w ośrodku zrodził się poważny problem. Obóz HSPS nie zaakceptował proponowanej przez „ciotkę” kandydatury komendanta. Mieli więc dwie możliwości: albo komendantem zostanie Marian – akceptowany przez nich – albo obozu HSPS

nie będzie, albo będzie wbrew ich opinii, ale spodziewać się trzeba kłopotów. Decyzja należała do Mariana. Trudno było mu zrezygnować z prowadzenia obozu własnego szczepu, z obozu, do którego przygotowywał się i z którym wiązał nadzieje, ale z drugiej strony nie potrafił odmówić, gdy w grę wchodziło dobro innych. Podjął się prowadzenia tamtego obozu, dał z siebie wszystko i był to najlepszy obóz w zgrupowaniu.

Rozpoczął się kolejny rok harcerski. Marian przedstawił nowy regulamin współzawodnictwa drużyn, uwzględniając w nim nie tylko styl pracy, program i potrzeby drużyn, ale także potrzeby szkoły. Wytyczne były przy tym tak interesująco opracowane, że zostały z entuzjazmem przyjęte nie tylko przez radę pedagogiczną szkoły, ale i samą młodzież. Marian nie zadowolili się tym, opracował więc bogaty i atrakcyjny program kursu zastępowych dla całego ośrodka. Zajęcia teoretyczne przeplatały się z zajęciami aktywizującymi kursantów, a całość posiadała bardzo ciekawą i oryginalną obrzędowość.

O tym, że Marian przedstawiał sobą jakąś wartość, świadczy to, że kilka lat temu znalazł się w gronie najlepszych instruktorów z całej Polski, którzy wzięli udział w spotkaniu z Przewodniczącym Rady Państwa, a w ostatnich latach został wytypowany przez komendę chorągwi na Kongres Młodzieży Polskiej. Wydawałoby się, że na takim instruktorsze powinno władzom hufca zależeć, przecież efekty jego pracy wpływały na dobre imię tej organizacji, były najlepszą propagandą działalności i idei harcerstwa w bliższym i dalszym otoczeniu. Ostatnie miesiące pokazały zaś, że jest inaczej. Zanim jednak przedstawię wydarzenia, które doprowadziły do sytuacji opisanej na początku, dla lepszego ich zrozumienia scharakteryzuję sytuację rodzinną Mariana.

Jest ich czworo. Matka pracuje i kończy zaocznie studia, starszy brat (na studiach dziennych) mieszka w innym województwie. Marian w tym roku kończy pedagogikę na uniwersytecie, a w domu jest jeszcze mała, dwunastomiesięczna siostra. A więc trzy osoby są na utrzymaniu pracującej i jednocześnie uczącej się matki, a Marian swój czas musi dzielić na naukę, zbiórki, prowadzenie kursu zastępowych, udział w kursie drużynowych, pomoc w domu przy młodej siostrze i inne drobne zajęcia. Niewiele czasu ma dla siebie, niekiedy nie starcza go nawet na sen, a coś takiego jak życie osobiste – jest mu chyba obce. W domu się nie „przelewa” i pomoc dla matki stanowi także jego stypendium. Marian, chcąc mieć pieniądze na własne potrzeby podejmuje się drobnych prac zlecanych przez uczelnię i stara się uczyć tak, by średnia ocen dawała możliwość otrzymania nagrody rektorskiej.

Nie trzeba dodawać, że czynności te pochłaniały resztki jego czasu, toteż stanął przed trudnym problemem, gdy inny hufiec zaproponował mu pracę etatową, stwarzając tym samym pewien punkt wyjścia do określonej drogi życiowej po skończeniu studiów, umożliwiając jednocześnie kontakty z młodzieżą i zgadzając się na kontynuowanie zaczętego kursu zastępowych w dotychczasowym ośrodku. Przyjęcie tej propozycji dawało szansę na pomoc zapracowanej matce, natomiast za odrzuceniem przemawiały lata pracy w ośrodku, życie się z harcerzami, poparcie i uznanie ze strony dyrektorki i komendantki ośrodka.

Elementy racjonalne po raz pierwszy przewyżczają romantyzm, sentyment i przywiązanie. Rozmawia z komendantką ośrodka z płaszczyzny (zgodnej z rzeczywi-

stością) człowieka, który jest w takiej sytuacji życiowej, że musi odejść. To duża strata dla ośrodka i ciężki cios dla niej, ale zorientowana w jego sprawach rozumie, że Marian inaczej nie może postąpić. Pyta tylko, czy zostanie, jeśli otrzyma etat w szkole, w której dotąd prowadzi szczep. Ona „poruszy niebo i ziemię”, by hufiec mu go przyznał, tym bardziej że istnieją do tego realne podstawy. Takie rozwiązanie odpowiada Marianowi, toteż zgadza się bez zastrzeżeń i wahania. Komendantce ośrodka zależy na pracy Mariana, więc robi, co może, by hufiec wyraził zgodę i przyznał mu etat. Jej wysiłki nie idą na marne i otrzymuje zapewnienie komendantki hufca, że sprawa zostanie załatwiona pozytywnie. Marian odrzuca w tej sytuacji poprzednią propozycję i pracuje dalej w ośrodku. Jest połowa września. Dostaje wiadomość, że podanie o etat dla niego poszło do Wydziału Oświaty i załatwia u dziekana wydziału pozwolenie na pracę. Mija 1 października, dzień, od którego Marian powinien pracować etatowo. Niestety, sprawa nadal nie jest załatwiona. Komendantka ośrodka wyjechała przygotowywać zimowisko, a w hufcu nic nie wiedzą. Przez kolejne dwa tygodnie dzwoni do hufca i rozmawia bezpośrednio z komendantką, która najpierw jechała do komendy chorągwi „załatwić tę sprawę”, potem stwierdziła, że „zajmuje się tym jeden z pracowników komendy chorągwi”, a w końcu wyjechała na urlop i nikt w hufcu ani w chorągwi nic nie wiedział i nie potrafił nic w tej sprawie zrobić.

Marian był wściekły i zrozpaczony. Został wystrychnięty na dudka, niepoważnie i lekceważąco potraktowany. Miał ochotę rzucić wszystko, ale jeszcze się opanował. Poszedł na uczelnię i cofnął podanie o pozwolenie pracy. O tym, z jaką reakcją się spotkał, lepiej nie pisać. Stypendium przyznano mu dopiero od listopada. Pozostała gorycz i żal do tych, którzy nie pomogli w potrzebie. Październik minął na wytężonej działalności, szczep przygotowywał się do urządzenia kolejnej wystawy o organizacji pionierskiej na terenie własnej szkoły, a także do Festiwalu Piosenki Harcerskiej i innych zajęć przewidzianych w planach pracy. Na początku listopada odbyło się uroczyste otwarcie wystawy, którą zwiedziła młodzież i zaproszeni goście, m.in. z hufca. Dyrektorka szkoły z uznaniem wyrażała się o pracy Mariana, szczepu i drużyn.

Na Mariana spada kolejny cios. Prowadzący zajęcia na kursie harcmistrzowskim w hufcu druh Nieznamski podaje uczestnikom jako wzór złego instruktora właśnie Mariana. Oto treść jego wypowiedzi: „Działa w naszym hufcu szczepowy – Marian, który nie dość, że bierze pieniądze za pracę społeczną, to nic nie robi i jeszcze wyjeżdża z chorągwi na Kongres Młodzieży”. Marian nie był na tych zajęciach, ale ta wypowiedź dociera do niego w dosłownym brzmieniu; rozumie, że oto dobitnie dają mu do zrozumienia, iż jest niepotrzebny. Doczekał się pięknej oceny własnej działalności... Nic dziwnego, że siedzi przede mną zrezygnowany i załamany, nie mając sił na dalszą pracę w takiej atmosferze. W tej chwili ma dosyć, być może za dzień, za tydzień przełamię się i, mimo wszystko, dalej będzie prowadził szczep.

Śluchając go i analizując tę historię oraz dobrze mi znane fakty, sam czuję wzbierającą gorycz i wzburzenie. Nie rozumiem, dlaczego człowiekowi, który całą swoją energię, czas, umiejętności i duszę przelewa w pracę dla organizacji, pracę społeczną, który wychował wielu dobrych harcerzy i instruktorów, rzuca się kłody pod nogi. Dlaczego nie stwarza się mu warunków do lepszej i pełniejszej działalności? Dlaczego wreszcie

nie traktuje się go jak człowieka, a niezaprzeczalnym efektem jego pracy przeciwstawia się obłudę, zawiść, ograniczoność i niezrozumienie?

Ubolewamy nad płynnością kadr, nad tym, że wśród tej, która istnieje, jest wielu pseudoinstruktorów, a z drugiej strony tracimy ludzi wartościowych i przydatnych Związkowi. Dlaczego? Dlaczego odchodzą? Przykład Mariana nie jest odosobniony, podobne lub inne są tylko przyczyny rezygnacji. Nie każdy ma tyle sił, wytrwałości i samozaparcia, by ciągle iść pod wiatr.

Wojciech Śliwerski



SZCZEGÓLNA DZIAŁALNOŚĆ

Co pewien czas słyszymy o wartościowych ludziach, którzy odchodzą z naszej organizacji. Co pewien czas spotykamy instruktorów, których zapal ostrył, którzy zamierzają się wycofać z czynnego działania. Pisano o tym także w „Motywach”.

Myślę, że jest to ważna sprawa. Nie tylko ze względu na szkodliwą fluktuację kadry jej ważność powinno się rozpatrywać z punktu widzenia tych jednostek, które odchodzą.

Każdy z nas zna wielu młodych ludzi, którzy cały swój wolny czas przeznaczają na pracę w harcerstwie. Zbiórki, spotkania, rady, biwaki, obozy, zimowiska są najważniejszym elementem ich życia. Jeśli trzeba się z nimi porozumieć, to idzie się nie do domu, ale do szkoły, gdzie prowadzą szczerp, albo do hufca, gdzie mają spotkanie instruktorskie. Jeśli się mówi z nimi na przykład o teatrze, to wiadomo, że po kilku minutach będzie się mówiło o tym, jak teatr wykorzystać w pracy z drużyną. Jeśli

są uczniami, to często w szkole zamiast o temacie myślą o najbliższej zbiórce... itd. Dochodzi do absurdów. Kiedy myślimy o nich, to często mamy ich za zwariowanych. Ich życie – to harcerstwo. Nieraz słuchamy ich podnieconych głosów, gdy mówią o planach swojej drużyny za kilka lat...

I nagle, któregoś dnia, jest inaczej. Nie patrzą w oczy. Milczą. A kiedy celnym zdaniem wywołamy wzruszenie – zaczynają mówić. Wtedy – i to bardzo dziwne – nie znajdujemy argumentów, żeby im zaprzeczyć. Mówią z żalem. Mówią prosto z serca. Wtedy wiadomo: w tym człowieku coś się załamało, coś się przerwało na linii łączącej go z innymi ludźmi. Jakiś most upadł. Most, który był budowany przez wiele lat i którego już nikt być może nie odbuduje...

Wojciech Śliwerski, autor artykułu *Jak długo pod wiatr* („Motywy”, nr 2), który sprowokował mnie do wypowiedzi, postawił tezę, że winne są władze hufca. Tak to zrozumiałem. Winne są dlatego, że stworzyły sytuację, w której Marian został „wykiwany”, winne dlatego, że przez jakiś czas był narażony na sytuacje konfliktowe.

Przypominam sobie, że w ubiegłym roku ten sam autor pisał do niejakiego Darka K., nazywając go pseudoinstruktorem. Darek K. prezentował wówczas poglądy rzeczywiście niepożądane dla instruktora, a druh Śliwerski obciążył wtedy całą odpowiedzialnością tego chłopaka.

Myślę, że podane wyżej przykłady interpretowania sytuacji są błędne. Nie w intencjach, ale w rozumowaniu. Jestem zdania, że sprawę należy traktować nieco inaczej.

Działalność, którą prowadzimy w harcerstwie – ideowe wychowanie – to działalność najwyższej bodaj rangi w społeczeństwie. Tak trywialne, zdawałoby się, powiedzenie nie jest w pełni rozumiane, a przynajmniej można podać wiele przykładów na to, iż w praktyce nie znajduje ono należytego odbicia.

Można, rzecz jasna, doprowadzić do tego, by mimo wszystko Marian otrzymał niższą, by Darek przestał pełnić swoją funkcję. Wystarczy interwencja prasy, zgłoszenie sprawy instancji. To najprostsze rozwiązanie.

Jeszcze raz podkreślę – działalność, którą prowadzimy, to działalność szczególnej wagi. Nie wystarczy zadowolić Mariana, rozwiązać problem Darka, by zakończyć sprawę. Nie możemy ograniczać się do likwidacji skutków złej sytuacji, trzeba zlikwidować przyczynę. Gdzie jej szukać? O wiele głębiej niż w obwinianiu konkretnych ludzi.

Rzeczywiście, zdarzają się przypadki nieodpowiedzialnej pracy instruktorskiej w drużynach. Bywa też, że nieprawidłowo funkcjonują zespoły kierownicze instancji, a raczej pojedyncze decyzje tych instancji są niewłaściwe. Każda jednakże z tych decyzji, którą zewnętrznym odbiorcą jest jako niewłaściwą, ma swoje szersze uzasadnienie; wynika z jakiegoś splotu sytuacji. Chodziłoby więc nie o zlikwidowanie skutków tej czy tamtej decyzji, ale o określenie sytuacji ją powodujących i skierowanie wszelkich działań, które pomogą ją wyeliminować. Instruktorzy instancji to przecież ludzie, którzy podlegają tym samym prawom co ich podwładni.

Jeden ze znanych mi instruktorów większość swych osiągnięć zawdzięcza – w moim przekonaniu – jednej tylko cesze charakteru, a mianowicie niezwyklej łatwości nawiązywania kontaktu. Wystarcza mu czasem kilkanaście minut, aby stać się

zaufanym rozmówcą nieznanego mu dotąd człowieka. Dotychczas jego środowisko nie uświadamia sobie sensu, istoty funkcjonowania tego chłopaka, ale za jakiś czas zostanie to dostrzeżone. A wtedy on... wypisze się z organizacji, pozostanie z żalem, niezaspokojony, rozdarty...

Myślę, że czas już na podsumowanie, którego niestety, nie potrafię zamknąć w formę wniosku. Z argumentów i przykładów, które przytoczyłem, wynikają banalne i sloganowe być może, ale jakże ważne sformułowania: w harcerstwie nie możemy decydować na podstawie chwili, odczuć czy sympatii. Kwestię awansów na wyższe stopnie instruktorskie, a zwłaszcza mianowania na funkcje trzeba realizować konsekwentnie i zdecydowanie. Przy aktualnym tempie rozwoju naszej organizacji musimy przestrzegać, aby instruktorskie szeregi wypełniali ludzie odpowiedzialni. W przypadkach drastycznych – nie obwiniać tych albo tamtych, ale kategorycznie żądać od instancji nadrzędnej podjęcia działań interwencyjnych (tak, druhu Wojtku, nie do Darka trzeba było pisać, ale do jego przełożonych).

Działalność, jaką prowadzimy, należy do szczególnych w społeczeństwie. Jeśli ktoś podejmuje jej trud, to nie ma takiego uzasadnienia, które mogłoby wytłumaczyć jego smutek, niezadowolenie, jego rozdarcie. Nie ma – po prostu nie ma.

Jacek Borzęcki

MY A SZCZEGÓLNA DZIAŁALNOŚĆ

Wokół m.in. takich elementów życia społecznego, jak: człowiek, współpraca, właściwa atmosfera pracy koncentruje się działalność polityczna i społeczno-gospodarcza naszego kraju, działalność organizacji partyjnej, organów państwowych, organizacji młodzieżowych, a jej słuszność i efekty poznać można, przeglądając codzienne wydania gazet. Nie dostrzegają tego, nie chcą dostrzegać lub po prostu nie zdają sobie z tego sprawy niektórzy instruktorzy naszej organizacji, a szkoda. Rangę i świadomość wymienionych elementów przesłania im szczególnie charakter działalności naszego Związku – to wrażenie, jakie odniosłem po przeczytaniu artykułu Jacka Borzęckiego (*Szczególna działalność*, „Motywy”, nr 7), i nie mogę pogodzić się z takim postawieniem sprawy. Dlaczego? Otóż autor zapomina, że działalność naszej organizacji, choćby nie wiem jak była szczególna, nie jest celem samym w sobie. Prowadzą ją konkretni ludzie dla ludzi. Kształtowanie wartościowych postaw, zaangażowania, prawidłowych stosunków międzyludzkich, właściwych wzorów osobowych, realizacji i kontroli procesów wychowawczych nie odbywa się w próżni. W działalność tę zaangażowani są instruktorzy i młodzież. W jej toku powinny kształtować się świadoma i właściwa postawa obywatelska każdego z nas, patriotyzm i zaangażowanie. Dlatego bardzo ważne jest to, jak czuje się każdy harcerz, instruktor w organizacji, w jakim stopniu zaspokaja ona także jego potrzeby, jaka jest skala satysfakcji i stopień osobistej identyfikacji z jej celami i programem. Szeregów harcerstwa nie tworzą ludzie znudzeni, o arystokratycznych

humorkach, dlatego konieczna jest znacznie głębsza obserwacja i analiza prowadzona przez instancje harcerskie, a dotycząca realizacji zadań i programów przez szczepy oraz drużyny. Zapatrzeni w imprezy, akcje, zajęcia, sprawozdania, natłok zadań, przestają dostrzegać człowieka, który je realizuje. Przykładów na poparcie tej tezy nie brakuje: szczepowa (studentka IV roku pedagogiki) kilka razy zwraca się do macierzystego hufca z prośbą o umożliwienie przeprowadzenia badań niezbędnych do pracy magisterskiej. Rezultat? Otrzymuje w końcu bezpośrednią odpowiedź: „Coś ty tak się uczepiła tego hufca? Nie możesz sobie gdzie indziej zbierać materiałów?”. Komentarz zbyteczny.

Inny przykład: po ceremonii wręczania patentów drużynowym szczepowa wyraża swoje zdziwienie i oburzenie oraz rozgoryczenie – jej najlepsza drużynowa nie dostała patentu. Dlaczego? Odpowiedź znów jest banalna: po prostu w hufcu zabrakło adnotacji o jej udziale w kursie. Ktoś przeoczył, zapomniał odnotować, może nie miał czasu, może akurat w tym czasie pisał sprawozdanie z kursu lub załatwiał inne sprawy. Później nie wyjaśniono sprawy ze szczepową. Drużynowa przyszła na wręczanie patentów. Nie dostała. O czym myślała – pozostaje jej tajemnicą. Gdzieś w papierach z dumą wymalowano liczbę wręczonych patentów, a na konferencjach z zadowoleniem będzie się podkreślało, że wzrosła liczba drużynowych. Któż przejmowałby się tym, że nie wszystko było w porządku? Szczepowa nie otrzymała pomocy niezbędnej do napisania pracy magisterskiej, drużynowa nie dostała patentu i zdaniem druha Jacka nie mają prawa do odczuwania żalu, rozgoryczenia, wewnętrznej rozterki, gdyż nie ma uzasadnienia dla tego typu stanów, przecież dobrowolnie wstąpiły do harcerstwa, dobrowolnie podjęły trud pracy społecznej, a rozumiejąc szczególną działalność organizacji, muszą wyzbyć się własnych odczuć, aspiracji, potrzeb. Nie, druha Jacku, z takim stanowiskiem nie można się zgodzić. Mamy prawo żądać od przełożonych poparcia, zrozumienia, pomocy nie tylko w prowadzonej pracy społecznej, ale i w szerszym zakresie, o ile tylko mogą nam jej udzielić. Są to przecież ludzie w tych samych mundurach i powinni być uczuleni na te sprawy. Nikt nikogo nie zmusza do pracy społecznej, podejmujemy ją dobrowolnie i nie obawiamy się przeszkód, wręcz przeciwnie – wielu instruktorów charakteryzuje śmiałość, odwaga w podejmowaniu trudnych i odpowiedzialnych zadań i akcji, nie trzymają się ścisłe wymagań, a w przypadku pilnej potrzeby społecznej wiadomo, że można na nich liczyć, że podejmą działalność bez względu na trudności, nie licząc na pochwały, nagrody itp. Szczególna działalność – to usprawiedliwienie, tak samo jak używany w codziennym życiu inny slogan – obiektywne trudności. Posługując się nimi, można usprawiedliwiać każdą sytuację konfliktową, niekonsekwencję, nieudolność, wygodnictwo, egoistyczne ambicje itp. Szczególna działalność nie uprawnia do tworzenia niechęci do pracy społecznej i warunków do rezygnacji z niej, nie usprawiedliwia szkodliwych w skutkach działań wychowawczych, nadużywania władzy.

Wojciech Śliwerski
16 kwietnia 1978 roku

Zrobić karierę w harcerstwie
nie jest tak trudno, zresztą
sami możecie przekonać
się o tym...



*jak
zrobić
karierę*

motylwy

TYGODNIK ZWIĄZKU HARCESTWA POLSKIEGO

NR 26 (1038) 1 LIPCA 1979 r.

ROK XXIX CENA 2,50 zł.

Zrobić karierę w harcerstwie nie jest tak trudno, zresztą sami możecie przekonać się o tym na moim przykładzie. Mam na imię Mariola i jestem studentką psychologii. Spróbujcie wyobrazić sobie wysoką, ładną blondynkę, w mundurze instruktorskim i w stopniu harcistrza — to właśnie ja.

Swoją stopień otrzymałam w hufcu, położonym w pobliżu miasta, w którym studiuję. Kosztował on mnie sporo czasu i wysiłku. Nie przecię tak bardzo nie absorbuję człowieka, jak te ciągle rozmowy, pogawędki, plotki i ploteczki przy kawce lub herbatce w hufcu, a — z drugiej strony — ile trzeba się namęczyć, żeby znaleźć ludzi, którzy odwaliliby czarną robotę, żeby — jak coś nie wyjdzie — można było zrzucić winę na nich. A jak się powiedzie, to odpowiednio rozpropagować spr-

wę, by zwierzchnicy wiedzieli, że to moja zasługa.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Zdzisiek. Ze Zdzisiem na tym samym roku studiuję i jestem w tej samej grupie. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia do czasu, gdy nie został zastępcą komendanta hufca. Wyobraźcie sobie młodego, szczupłego, z lekkim wąsem, energicznego chłopaka, rządzącego niejednym dyrektorem szkoły czy nauczycielem, prowadzącego rozmowy z władzami dzielnicy, itp. Jeśli dodać do tego kontakty z komendą chorągwi, ciągłe delegacje, wyjazdy i różnego rodzaju wyróżnienia, to nie dziwnego, że poczułam się przy nim trochę jak Kociuszka.

Pomyślałam sobie, że skoro taki Zdzisiek dostał się do hufca i prawie w nim rządził, to i dla mnie musi się znaleźć tam miejsce. Strategia, jaką przyjąłem, była prosta. Z jednej strony zaczę-

nie, aby w razie jakichś kłopotów nie łączyli ich z moją osobą.

Instruktorów chętnych do pracy nie brakowało. I całe szczęście, bo przecież trudno, żebym ja, będąc na tym szczeblu, zajmowała się jakąś robotą. Najważniejsze — to zlecić jej wykonanie odpowiednim ludziom i ciągle dorzucać im coś nowego, by nie mieli czasu myśleć o tym, że to co robią, robią za mnie. Ważne też, by ich nie rozpieszczać i nawet jak coś się uda, znaleźć choćby drobne mankamenty — w ten sposób ich uwaga zwrócona zostanie na to co robią. W stosunku do zwierzchników musiałam obrać inną taktykę. Wystarczyło w miarę często pokazywać się w hufcu, być towarzyską i jako jedyną z pierwszych prezentować sukcesy (podwładnych).

Sama taktyka jednak nie wystarczy, ważne są również dobre układy towarzyskie z kadra, bo głupio przecież krzyknąć lub mieć

pretensję do instruktora, którego się wprowadziło do hufca. W ten sposób miałam „w rękę” Zdzisika i Krzyśka, dwóch zastępców komendanta hufca. O szefa już nie musiałam się troszczyć, był zbyt daleko od tego, co się działo na dole.

Mijały miesiące, a ja byłam władczynią na swoim stanowisku. Nie wszystko jednak wyglądało tak różowo. Wyobraźcie sobie, wrobił mnie w obóz! Co za łudzie! Nie dość, że miałam tyle pracy, to jeszcze zrobili mnie komendantką. Tego już było za wiele. Wycofać się nie mogłam, brakowało mi odpowiedniego uzasadnienia. Postanowiłam więc siedzieć cicho i czekać na sprzyjającą okazję. Zbliżał się dzień wyjazdu na obóz, a ja nie miałam jeszcze żadnej koncepcji. Wreszcie...

Zdecydowałam się postawić wszystkich przed faktem dokona-

Niestety, argumenty Marysi coraz częściej zaczęły trafiać do Zdzisika, a i drużynowi podobno mieli powody do niezadowolenia. Całe szczęście, że Zdzisiek, który wprowadził mnie do hufca, nie może mnie z niego usunąć, bo jakby sam wyglądał podejmując w krótkim czasie dwie sprzeczne decyzje — z tej strony byłam więc bezpieczna.

Następne komplikacje zaczęły się, gdy z racji pełnionej funkcji, wpakowali mnie w prowadzenie

śródrocznego kursu drużynowych. Całe szczęście, że — nauczona poprzednim doświadczeniem — zawczasu wykreśliłam się z prowadzenia obozu kursu. Nie po to w końcu mam stopień harcistrza, żeby użerać się latem z dziećmi i bawić się w wykłady. Coś jednak z tym kursem trzeba było zrobić.

Pierwsze zajęcia rozpoczął z nimi na zimowisku, ale Zdzisikowi to było za mało. Chciał maksymalnie wykorzystać okres przedobozowy na wykłady, seminaria oraz zajęcia teoretyczne różnego typu i załatwił tygodniowy kurs w ośrodku harcerskim. Myślał, że pojedzie, więc na wszelki wypadek nie wyprowadzałam go z błędu. Mało tego, wyobraźcie sobie, że załatwił nawet jakiegoś instruktora z hufca na komendanta obozu kursowego i chciał, żebym w ośrodku przekazała mu wszystkie materiały dotyczące kursu. Nie tylko, że nie dałam, ale w

ogóle nie pojechałam. Możecie sobie wyobrazić jakie mieli miny, nie wiedzieli przecież jakie prowadzi wykłady, ile osób liczy kurs, nie mieli planu pracy, stałego komendanta, itp. W ten sposób zrozumieli, że zależą ode mnie.

Dall sobie jakoś radę, ale Zdzisiek po powrocie był wściekły. Zarozumiał się smarkacz! Gdyby u-

Zrobić karierę w harcerstwie nie jest tak trudno, zresztą sami możecie przekonać się o tym na moim przykładzie. Mam na imię Mariola i jestem studentką psychologii. Spróbujcie wyobrazić sobie wysoką, ładną blondynkę w mundurze instruktorskim w stopniu harcistrza – to właśnie ja.

Swój stopień otrzymałam w hufcu położonym w pobliżu miasta, w którym studiuje. Kosztował mnie sporo czasu i wysiłku. Nic przecież tak bardzo nie absorbuje człowieka, jak te ciągle rozmowy, pogawędki, plotki i ploteczki przy kawce lub herbacie w hufcu, a – z drugiej strony – ile trzeba się namęczyć, żeby znaleźć ludzi, którzy odwaliliby czarną robotę, żeby – jak coś nie wyjdzie – można było rzucić winę na nich. A jak się powiedzie, to odpowiednio rozpropagować sprawę, by zwierzchnicy wiedzieli, że to moja zasługa.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Zdzisiek. Ze Zdziśkiem studiuje na tym samym roku i jestem w tej samej grupie. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia do czasu, gdy nie został on zastępcą komendanta hufca. Wyobraźcie sobie młodego, szczupłego, z lekkim wąsem, energicznego chłopaka rządzącego niejednym dyrektorem szkoły czy nauczycielem, prowadzącego rozmowy z władzami dzielnicy itp. Jeśli dodać do tego kontakty z komendą chorągwi, ciągle delegacje, wyjazdy i różnego rodzaju wyróżnienia, to nic dziwnego, że poczułam się przy nim trochę jak Kopciuszek.

Pomyślałam sobie, że skoro taki Zdzisiek dostał się do hufca i prawie w nim rządzi, to i dla mnie musi się znaleźć tam miejsce. Strategia, jaką przyjął, była prosta. Z jednej strony zaczęłam uskarżać się Zdziśkowi, że nie mam co robić z wolnym czasem, chciałabym działać, pracować, a tymczasem marnują się moje chęci i zapał. Z drugiej strony podziwiałam jego zaangażowanie, zapał, że z tyloma sprawami daje sobie radę, i współczułam, gdy miał jakieś problemy, kłopoty. Moje zabiegi nie poszły na marne. Wyrobiłam w nim przekonanie, że jestem niezbędna w hufcu, a do ustalenia pozostała tylko sprawa odpowiedniej funkcji.

Udało się! W sposób odgórny i niepodlegający dyskusji zostałam mianowana przez Zdziśkę szefem referatu młodszoharcerskiego i przewodniczącą kręgu drużynowych, a że w obu tych jednostkach nie brakło działaczy harcerskich, więc przez jakiś czas miałam spokój. Zajmując już odpowiednią pozycję, trzeba było pozyskać ludzi i zdobyć ich zaufanie, aby w razie jakichś kłopotów nie łączyli ich z moją osobą.

Instruktorów chętnych do pracy nie brakowało. I całe szczęście, bo przecież trudno, żebym ja, będąc na tym szczeblu, zajmowała się jakąś robotą. Najważniejsze to zlecić jej wykonanie odpowiednim ludziom i ciągle dorzucać im coś nowego, by nie mieli czasu myśleć o tym, że to, co robią, robią za mnie. Ważne też, by ich nie rozpieszczać i nawet jak coś się uda, znaleźć choćby drobne mankamenty – w ten sposób ich uwaga zwrócona zostanie na to, co robią. W stosunku do zwierzchników musiałam obrać inną taktykę. Wystarczyło w miarę często pokazywać się w hufcu, być towarzyską i jako jedna z pierwszych prezentować sukcesy (podwładnych).

Sama taktyka jednak nie wystarczy, ważne były również dobre układy towarzyskie z kadrą, bo głupio przecież krzyczeć lub mieć pretensje do instruktora, którego się wprowadziło do hufca. W ten sposób miałam w garści Zdziśkę i Krzyśkę, dwóch

zastępców komendanta hufca. O szefa już nie musiałam się troszczyć, był zbyt daleko od tego, co się działo „na dole”.

Mijały miesiące, a ja byłam władczynią na swoim stanowisku. Nie wszystko jednak wyglądało tak różowo. Wyobraźcie sobie, wrobili mnie w obóz! Co za ludzie!? Nie dość, że miałam tyle pracy, to jeszcze zrobili mnie komendantką! Tego już było za wiele. Wycofać się nie mogłam, brakowało mi odpowiedniego uzasadnienia. Postanowiłam więc siedzieć cicho i czekać na sprzyjającą okazję. Zbliżał się dzień wyjazdu na obóz, a ja nie miałam jeszcze żadnej koncepcji. Wreszcie...

Zdecydowałam się postawić wszystkich przed faktem dokonanym i posłałam chłopaka, żeby za mnie poprowadził obóz. Myślicie, że mi podziękowali? Wręcz przeciwnie, nie tylko mieli pretensje, ale jeszcze w dodatku obrazili się na mnie. Cóż za niewdzięczność! Przypnijcie, że nie miał on pojęcia o harcerstwie (a coś dopiero o prowadzeniu obozu), ale w końcu każdy kiedyś musi spróbować i trzeba stwarzać ludziom szansę, by mogli się wykazać.

To było rok temu i przez ten czas atmosfera w hufcu pogorszyła się. Wszyscy uwzięli się na mnie. Pierwsza zaczęła się buntować Maryśka, moja zastępczyni w re-



feracie i w kręgu drużynowych. Uważała, że robi za mnie, ba, nawet „cisnęła” Zdziska, by ją mianował przewodniczącą kręgu, skoro ja w jednym i drugim nic nie robię. Na szczęście komendant hufca nie zgodził się na jej sugestie, twierdząc, że kierownicy to nie rękawiczki, by ich co chwila zmieniać. I miał rację! A swoją drogą, to czy ona nie jest bezczelna? Co z tego, że wszystko robi i organizuje? Trudno, żeby siedziała beczynnie (nie po to jest moją zastępczynią); w dodatku nie rozumie, że musi istnieć podział pracy: ja reprezentuję referat i krąg na zewnątrz, a ona musi dbać o to, by wszystko szło zgodnie z planem i założeniami.

Niestety, argumenty Marysi coraz częściej zaczęły trafiać do Zdziska, a i drużynowi podobno mieli powody do niezadowolenia. Całe szczęście, że Zdzisiek, który wprowadził mnie do hufca, nie mógł mnie z niego usunąć, bo jak by sam wyglądał, podejmując w krótkim czasie dwie sprzeczne decyzje – z tej strony byłam więc bezpieczna.

Następne komplikacje zaczęły się, gdy z racji pełnionej przeze mnie funkcji wrobili mnie w prowadzenie śródrocznego kursu drużynowych. Całe szczęście, że – nauczona poprzednim doświadczeniem – zawczasu wykręciłam się z prowadzenia obozu kursu. Nie po to w końcu mam stopień harcmistrza, żeby użerać się latem z dziećmi i bawić się w wykłady. Coś jednak z tym kursem trzeba było zrobić.

Pierwsze zajęcia rozpoczęłam z nimi na zimowisku, ale Zdziskowi to było za mało. Chciał maksymalnie wykorzystać okres przedobozowy na wykłady, seminaria oraz zajęcia teoretyczne różnego typu i załatwił tygodniowy kurs w ośrodku harcerskim. Myślał, że pojadę, więc na wszelki wypadek nie wyprowadzałam go z błędu. Mało tego, wyobraźcie sobie, że załatwił nawet jakiegoś instruktora z hufca na komendanta obozu kursowego i chciał, żebym w ośrodku przekazała mu wszystkie materiały dotyczące kursu. Nie tylko, że nie dałam, ale w ogóle nie pojechałam. Możecie sobie wyobrazić, jakie mieli miny, nie wiedzieli przecież, jak prowadzić wykłady, ile osób liczy kurs, nie mieli planu pracy obozu stałego, komendanta itp. W ten sposób zrozumieli, że zależą ode mnie.

Dali sobie jakoś radę, ale Zdzisiek po powrocie był wściekły. Zarozumiały smarkacz! Gdyby umiał postępować z ludźmi, to może wszystko wyglądałoby inaczej. Powiedziałam mu, że musiałam zostać w domu z powodów osobistych. Naiwniak – uwierzył, ale nie zrozumiał. Ważniejszy był dla niego jakiś kurs niż powody, dla których musiałam zostać.

Dobrze, że chociaż inni mnie doceniali. Za swój wkład w szkolenie dostałam srebrną odznakę Kadry Kształcącej, a po ich powrocie z ośrodka – czterysta złotych nagrody. Widzicie więc, że najważniejsze to wychować sobie ludzi, a wtedy żadna siła Was nie ruszy.

Wcześniej, jako szef referatu, weszłam do rady hufca i komisji kształcenia, tak że zupełnie byłam niezagrożona i Zdzisiek mógł się szamotać jak ryba wyjęta z sieci, wiedząc, iż i tak niewiele zdziała. Zresztą nie będę go już męczyła. Ostatnio myślę coraz częściej, czy nie można by przenieść się do komendy chorągwi. Tam jest zupełnie inny „klimat”, łatwiej zlecać ludziom różne zadania i rozliczać ich, można też uzyskać więcej



odznaczeń. To zupełnie inny szczebel. A co najważniejsze, ze złotym sznurem byłoby mi bardzo do twarzy. Tylko jak tam się dostać? Poradźcie.

Mariola (Wojciech Śliwerski)
Sierpień 1978 roku

DYLEMAT

Piotr, wieloletni instruktor-pasjonat skierowany został do pracy z trudną młodzieżą w ośrodku kuratorskim. Nie czuł się zbyt pewnie, przekraczając próg domu kultury, w którym mieścił się ośrodek. Po raz pierwszy w życiu miał prowadzić zajęcia z dziećmi opóźnionymi w rozwoju, znerwicowanymi i mającymi za sobą wyroki sądowe. Jeszcze bardziej zachwiała jego równowagę psychiczną powitanie kierowniczk:

– Panie Piotrze, płacę 45 zł za godzinę i żeby mi się nic nie stało. Radzę przy tym, żeby pan tłukł te diabły, bo w przeciwnym wypadku one pana pobiją...

Piotr nie był fachowcem. Z zawodu robotnik, uczył się pedagogiki w pracy z harcerzami. Przerażony czekając go perspektywą, wyjaśnił kierownicze, że podjął się tej pracy nie dla zarobku, i poprosił o plan zajęć z dziećmi. Dość długo czekał na odszukanie wśród sterty papierów zarysu wychowawczego z... ubiegłego roku. Najchętniej wróciłby do domu, ale skoro podjął się tej pracy, to trudno było teraz się z niej wycofać.

Na pierwsze spotkanie z dziećmi przygotował różne gry, fragmenty przysłów, wziął znaczki i materiały do konkursu rysunkowego. Czujnie prowadził zajęcia, wy-czekując niebezpiecznego momentu. Tymczasem w grupie panowała cisza i porządek. „Widocznie wśród nich nie ma wspomnianych «diabłów»” – myślał z ulgą i coraz bardziej rozluźniony, prowadził kolejne quizy i zabawy. Po skończonym konkursie rozrywkowym zaproponował dzieciom złożenie hasła, wybór najlepszych rysunków i zrobienie z nich wystawy na pustej macie słomkowej.

Znów cisza. Po chwili wstała bardziej odważna od innych dziewczynka:

– Proszę pana, pan chyba żartuje? Nasze rysunki na wystawę?

Zrozumiał, że nikt dotąd nie interesował się „diablami”, przekreślając z góry każdy, nawet drobny ich sukces i możliwość ich powrotu do społeczeństwa.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Wydarzenia tego dnia były dla niego zbyt silnym przeżyciem emocjonalnym. Ze względu na chore serce nie powinien tam już pracować...

Tylko czy ma prawo tak postąpić?

Wojciech Śliwerski
1 lipca 1979 roku

Instruktorka , ma 17 lat , po
roku pracy na stanowisku
drużynowej stoi przed
dylematem : aktywność
czy ucieczka



TYGODNIK ZWIĄZKU HARCEŃSTWA POLSKIEGO

Nr 35 (1022)

27 SIERPNI 1978 r. ROK XXVIII

CENA 2,50 zł

FAJSTART

WOJCIECH

ŚLIWERSKI

Instruktor, ma 17 lat, po roku pracy na stanowisku drużynowy stoi przed dyktandem: aktywność czy nieaktywność. Raport został napisany na podstawie jej listów, przysłanych do Harcerskiej Poradni Metodycznej „Impuls” w Łodzi, której od niedawna patronuje nasza redakcja.

Kłopoty zaczęły się równo rok temu. We wrześniu 1977 roku objełam drużynę w wybudowanej przed dwoma laty szkole podstawowej. Wszystko było na jak najlepszą drogę: ja — świeżo po kursie drużynowych, pełna zapału i pomysłów i oni — 24 urwisów (12 dziewcząt i 12 chłopów) reklamowanych przez szarepowa. Ich drużyną była nauczycielka języka polskiego. Przekazała mi drużynę, bo została pracownikiem etatowym — kierowniczka referatu harcerskiego — naszego hufca.

Pierwszego spotkania z nimi właściwie nie da się opisać. Poprzedziła bardzo ich rozpacz, kompletnie nie przestrzegali dyscypliny. Przyszłam razem z nią. Hasła były tak wielkie, że ledwo dołazyły się i podziła na zastępy. Omówiłam warunki Turnieju Wiedzy Obywatelskiej i Ruchu Drużyn Szkołowych. Po tej zbiórce popłakałam się i z przerażeniem myślałam o następie. Dotychczasowa drużynowa pocięła mnie, że będzie dobrze, bo to w zbiorce rzeczy dobre dzieci. Następna zbiórka poświęcona była składkom, kasierczkom harcerskim i kasierczkom zastępów. Przydzielłam także funkcje. Naradę do drużyny nie robiłam, ponieważ prawie cała drużyna była z jednej klasy i nie miałam wszystkich harcerzy należących poprzednio do ruchów. Wszyscy też byli umiarnie, posiadali kryzys i stopień ochoty. Na trzeciej zbiórce zatwierdzony został ostatecznie plan pracy drużyny i przeprowadziliśmy próbę akademii na Dzień Narodziła.

Pierwsze zbiórki były występowe organizacyjne, bo ciągle ktoś czegoś nie wiedział, byli z czegoś niezadowoleni i chcieli zmienić. To był dopiero początek. Wszystko okazało się, że mi harcerze nie, ale to dokładnie nie umieli. Byłam tym za-

(nie dłużej niż 10 minut), dziewczęta znudzone siedzeniem zaczęły marudzić „kiedy koniec zbiórki”, albo „kiedy będziemy się bawić w szkołę”. Jeszcze to zostało jedyną zabawą, poza berkiem, którą znała i w którą mogą bawić się przez całą zbiorke. Próbowałam zająć ich innymi zabawami: układaniem sztyrem zadaniami, wymyślaniem konkursów. Wszystko na nic. Dziewczęta wołały laśka, dziewczęta chcą śpiewać, chłopcy — nie, przeszkadzają. Właśnie najgorsze jest to, że oni nie chcą, w ogóle nie potrafia się bawić i harcerstwo nie jest im potrzebne.

Robiłam ankiety, próbowałam z nimi rozmawiać: czego oczekują z zbiorokach, co chcą robić — nie. Zupełnie nie. Zbyt im słoniłami: chcemy pomagać starszym ludziom, chodzić na wyieczki, uczyć się o innych krajach. Mówili tylko po to, żeby coś mi powiedzieli. Okazało się, że: niki nie ma czasu na pomaganie starszym ludziom, na wyieczki mogą chodzić w niedzielę z PTTK, a pani od geografii, że są i interesują się przedmiotem, a co do tych obcych krajów, to na moją propozycję zbiorke na ten temat, ubawiamy: „no nie, wie druch, że się tylko tak mówi...”

Były andrzejki — przyszło 15 osób, było łopienie Marzanny — przyszło 12 osób. Na zbiorokach zjawiali się też 6-8 osób.

Na przybliżenie i zastępowych wybrałam samych najmłodszych, ludzi bez autorytetu, którzy każde zadanie wykonują sami, bo niki ich nie słucha. Przybliżenie jest z ich (VI) klasy i pojcia nie ma co robić. Unie tylko składają raport i mówią: „bez taski”, „na pewno nie”, albo „mowu ja”. Chłopcy się z niej nabijają, dziewczęta dogadują, ale to chyba normalne. Nowej przybliżenie (przybliżenie) nie udało się wprowadzić. „Niech sobie druch znajdzie innego fresta” — mówią. Podobnie z zastępowymi. Chciałam zmienić, ale powiedzieli mi, że się nie zgadzają i, że niki z nich nie będzie taki głupi, by robić.

Jedyną co w drużynie nie budzi zastrzeżeń, to kronika drużyny, którą prowadzi najstarsza dziewczyna, harcerka. Chciałam, żeby każdy zastęp po kolei robił w niej notatki, ale nie z tego nie wyszło. Zastępy mają propozycje i teoretycznie swoje kroniki, w każdym razie cały

niepotrzebnie przyszły i straciły półtorej godziny, a „o opole mogłam je uprzedzić, to by się nie fatygowały”.

Czy byłam wcześniej drużynową? — nie. Ani drużynową, ani zastępową. Sama tak wiem, czy to, do czego należałam w szkole podstawowej, to było harcerstwo. Tak naprawdę, to działałam w niej tylko drużyną ruchową.

Obliczenia szarepowa. Przyrzeczenie? — nie, nie składałam. Moja drużynowa sama nie wiedziała jak się je robi i po prostu dała nam na zbiorce karteczkę i zaszciski rucha. Z Przyrzeczeniem było praktycznie tak samo i właściwie przejmując drużynę nie posiadałam doświadczenia i nie wiedziałam, jak to jest po tamtej drugiej stronie. Na szczęście, jak już wspominałam, wysocy postadzi kryzys i Przyrzeczenia nie musiałam organizować.

Natomiast miałam problem z przynajmniej stopnia tropiciela. Zdobywaliśmy go w tym roku (nieistnieć nie posiadałam regulaminu i wymagań zdobywania stopni) i nie wszyscy pracowali tak samo, dlatego nie wiedziałam jak postąpić. Czy przyznać go wszystkim, tak jak poprzedni przyznawali ich drużynowa, czy tym, którzy zasłużyli? Jeśli przyznać go tylko części harcerzy, to reszta się obrazi — taki wiek.

Czy zeruciałam się o pomoc do szarepowej lub opiekuna szarepowa?

Chętnie bym to zrobiła, ale szarepowa nie ma dla nas czasu. Funkcję tę pełni nauczycielka klas młodocich w tej szkole, która uzupełnia wyższe wykształcenie. Z pewnością więc, mimo szarepowej chęci i jej strony, brak czasu uniemożliwia szarepowa realizowanie zadań w szarepowa. Z tych też powodów na pomoc szarepowej przy organizowaniu imprez, nie miałam co liczyć. O opiekunkach szarepowa tak naprawdę nie słyszałam, a jeśli tak są, to tylko na papierku.

W szkole pracują cztery drużyny ruchowe i z nimi nie ma w zasadzie kłopotu. Gorzej jest z drużynami harcerskimi. Oprócz mojej działa jeszcze jedna, w równoległej klasie VI, ale jakośkolwiek współpracuje z nią odpała, ponieważ sama prowadzi drużynę i jest mi trudno zorganizować jedną imprezę typu: bieg sprawnościowy, czy podobny. Wszystko wyjcia w teren sprawują mi masę kłopotów, bo jakby nie było, zdana jestem na własne siły, i w dodatku, niepełnoletnia. Po każdym wyjściu, kiedy natalam się jak głupia, żony ich unioślowi i w miarę przyzwyczajam.

widnie najmłodszym zastępem i wiem, że w takim składzie mogliby dużo zrobić, ale wtedy pozostałe zastępy byłyby całkiem do niczego, więc nie poczwiliam.

Piszę to wszystko, choć właściwie się zastanawiam po co? Od nowego roku szkolnego zdecydowałam się zmienić szarepowa, nauczyciel i hufiec. Chciałabym zacząć pracę z prawdziwą drużyną, z harcerkami, którzy wstąpiłi do harcerstwa, bo chcieli, w prawdziwym szarepowa, w którym szarepowa ma choć godzinę czasu w miesiącu, do szarepowa, gdzie jest harcerstwa lub choćby możliwość korzystania z jakiegokolwiek pomieszczenia.

Pom tym mam kompletnie doświadczenie (to podobno ze względu na mój wiek nie wypada) zawiązać i zbiórka szarepowa z hufcem i „starych panów” w hufcu, które z nową potrafią stworzyć obywateli hufca. Dotyczy to także dawnej drużynowej, która na początku kiedyś chciała alym objąć jej drużynę, była dla mnie bardzo miła, chciała pomocy, możliwości pracy w referacie i w ogóle dużo. Teraz ze względu na jej osobiste antypatie do szarepowej, zawiadomienia o wszystkich imprezach hufca decyduje o szarepowa w dniu imprezy lub w poprzedniej, w czasie gdy porzuciła szarepowa widzę o wszystkim od tygodnia lub dwóch.

Zawracam staram się być choć raz w tygodniu w hufcu (choć jest mi to nie do drogie, a jednak muszę zarzą po szkole z lekcją przez prawie całe miasto, bo ostatecznie tylko do 10.00). Na początku to czasem dowodziłam się co i kiedy będzie, teraz otrzymuję odpowiedzi: — Od czego masz szarepowa, niech ci powie; albo — Wyględy ci zacięto.

Czy tak postępują instruktorzy? Starał się przykładać? — w takim razie ja rezygnuję, bo właściwie powinno się harcerem ułatwiać pracę, a przynajmniej nie utrudniać.

Miałam z drużyną jechać na obóz. Szarepowa obiecywała, że będzie z nimi jako obywatel w jednym podobno i w ogóle będzie raj. W końcu jednak okazało się, że ten raj będzie mnie kosztował ok. 2000 zł i rodzice nie nie zgodzili. Będę się opiekować i pomagać przy ruchu, to z kolemi mnie nie za bardzo odpowiada, w końcu na obóz miałam trochę jechać ze swą drużyną.

Moje jestaniem trochę niesprawiedliwa w ocenie sytuacji, ale cały rok starałam się nie zerwać na nie uwagi i koncentrować na pracy z drużyną. Czujmy miłość i moja praca z drużyną też mogła wyglądać inaczej.

Moja największa winę ponoszę ja? Może po prostu nie wystarczałam, chęć, żebym

jeszcze czegoś więcej, a ja tego nie mam?

Chciałabym jednak spróbować jeszcze raz. Myślę, że teraz już wiem jak. A wla-



Siedemnastoletnia instruktorka po roku pracy na stanowisku drużynowej stoi przed dylematem: aktywność czy ucieczka? Reportaż został napisany na podstawie jej listów przysyłanych do Harcerskiej Poradni Metodycznej „Impuls” w Łodzi, której od niedawna patronuje nasza redakcja.

Kłopoty zaczęły się równo rok temu. We wrześniu 1977 roku objęłam drużynę w wybudowanej przed dwoma laty szkole podstawowej. Wszystko było na jak najlepszej drodze: ja – świeżo po kursie drużynowych, pełna zapału i pomysłów i oni – 24 urwisów (12 dziewcząt i 12 chłopców) „reklamowanych” przez szczepową. Ich drużynową była nauczycielka języka polskiego. Przekazała mi drużynę, bo została pracownikiem etatowym – kierowniczką referatu harcerskiego – naszego hufca.

Pierwszego spotkania z nimi właściwie nie da się opisać. Poprzedniczka bardzo ich rozpuściła, kompletnie nie przestrzegali dyscypliny. Przyszłam razem z nią. Hałas był tak wielki, że ledwo zdołałyśmy się z nimi porozumieć w sprawie planu pracy i podziału na zastępy. Omówiłam warunki Turnieju Wiedzy Obywatelskiej i Ruchu Drużyn Sztandarowych. Po tej zbiórce popłakałam się i z przerażeniem myślałam o następnej. Dotychczasowa drużynowa pocieszała mnie, że będzie dobrze, bo to w gruncie rzeczy dobre dzieci. Następną zbiórka poświęcona była składkom, książeczkom harcerskim i książeczkom zastępów. Przydzieliłam także funkcje. Naboru do drużyny nie robiłam, ponieważ prawie cała drużyna była z jednej klasy i niemal wszyscy harcerze należeli poprzednio do zuchów. Wszyscy też byli umundurowani, posiadali krzyże i stopień ochotnika. Na trzeciej zbiórce zatwierdzony został ostatecznie plan pracy drużyny i przeprowadziłam próbę akademii na Dzień Nauczyciela.

Pierwsze zbiórki były wyłącznie organizacyjne, bo ciągle ktoś czegoś nie wiedział, był z czegoś niezadowolony i chciał coś zmienić. To był dopiero początek. Szybko okazało się, że moi harcerze niczego, ale to dokładnie niczego nie umieją. Byłam tym zaskoczona, przecież rok wcześniej otrzymali tytuł Drużyny Sztandarowej!

Jakim cudem stali się Drużyną Sztandarową? Miano to zdobyli za to, że na zewnątrz prezentowali się dosyć dobrze, ładnie śpiewają (dziewczęta), byli umundurowani i jako jedyna drużyna harcerska w szkole reprezentowali szczep na wszystkich imprezach hufca.

Mogłabym z nimi to wszystko nadrobić, ale gdy dziewczęta słuchały, chłopcy musieli załatwić swoje sprawy (zazwyczaj na pięści). Kiedy chłopcy siedzieli spokojnie (nie dłużej niż 10 minut), dziewczęta znudzone siedzeniem, zaczynały marudzić: „kiedy koniec zbiórki?” albo: „kiedy będziemy się bawić w liska?”. Jest to zresztą jedyna zabawa, poza berkiem, którą znają i w którą mogą bawić się przez całą zbiórkę. Pró-

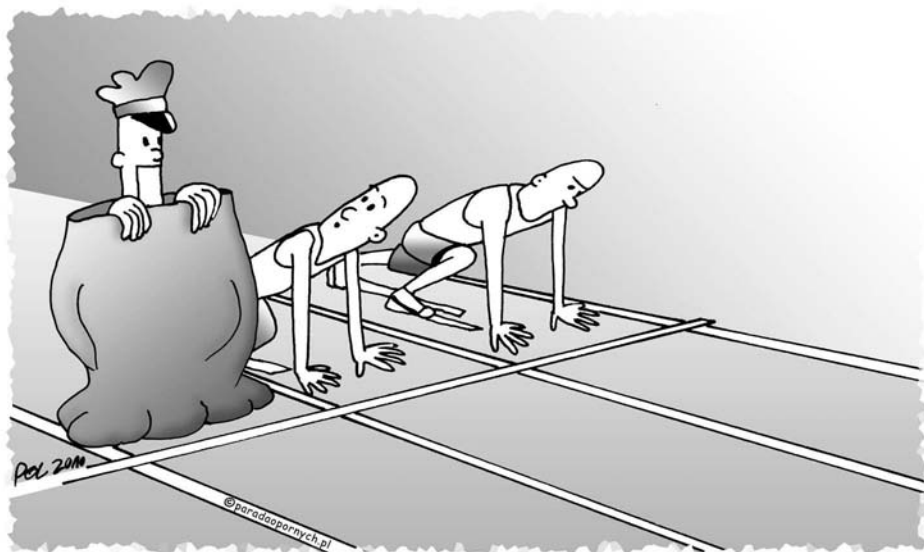
bowalam zająć ich innymi zabawami: układałam szyfrem zadania, wymyślałam konkursy. Wszystko na nic. Dzieci wołały liska. Dziewczeta chcą śpiewać, chłopcy – nie, przeszkadzają. Właśnie najgorsze jest to, że oni niczego nie chcą, w ogóle nie potrafią się bawić i harcerstwo nie jest im potrzebne.

Robiłam ankiety, próbowałam z nimi rozmawiać: czego oczekują po zbiórkach?, co chcą robić? I... nic. Zupełnie nic. Zbyli mnie sloganami: chcemy pomagać starszym ludziom, chodzić na wycieczki, uczyć się o innych krajach. Mówiły **tylko po to, żeby coś mi powiedzieć**. Okazało się, że nikt nie ma czasu na pomaganie starszym ludziom, na wycieczki mogą chodzić w niedzielę z PTTK, z panią od geografii, co jest bardziej opłacalne, bo pani widzi, że są i interesują się przedmiotem, a co do tych obcych krajów, to na moją propozycję zbiórki na ten temat usłyszałam: „**No nie, wie druhna, to się tylko tak mówi...**”.

Były andrzejki – przyszło 15 osób, było topienie Marzanny – przyszło 12 osób. Na innych zbiórkach zjawiało się też 12–15 osób.



Na przyboczną i zastępowych wybrali samych najsłabszych, ludzi bez **autoritetu**, którzy każde zadanie wykonują sami, bo nikt ich nie słucha. Przyboczna jest z ich (VI) klasy i pojęcia nie ma, co robić. Umie tylko składać raport i mówić: „bez łaski”, „na pewno nie” albo: „znowu ja”. Chłopcy się z niej nabijają, dziewczeta dogadują, ale to chyba normalne. Nowej przybocznej (nowego przybocznego) nie udało się wprowadzić. „Niech sobie druhna znajdzie innego frajera” – mówią. Podobnie z zastępowy-



mi. Chciałam zmienić, ale powiedzieli mi, że się nie zgadzają i że nikt z nich nie będzie taki głupi, by robić (pełnić tę funkcję).

Jedyne, co w drużynie nie budzi zastrzeżeń, to kronika drużyny, którą prowadzi najgrzeczniejsza chyba harcerka. Chciałam, żeby każdy zastęp po kolei robił w niej notatki, ale nic z tego nie wyszło. Zastępy mają proporce i teoretycznie swoje kroniki, w każdym razie cały czas mówili, że je robią, a jak chciałam, żeby przynieśli na następną zbiórkę, to okazało się, że nie ma. Zbiórek zastępów też nie robią: „Po co? Przecież my się widzimy codziennie w szkole”.

Sytuację pogarszał brak izby czy w ogóle jakiegoś kąta. Dzieci kończą lekcje przeważnie po 16.00, a o 17.00 woźna zamyka szkołę. Gdy zrobiło się trochę cieplej, doszłam do tego, że oni nie znają zasad musztry. Chciałam ich nauczyć. Zaprosiłam kolegę z klasy – podobno chłopcy mają większy autorytet – ale nico z tego. Dziewczęta doszły do wniosku, że niepotrzebnie przyszły i straciły półtorej godziny, a w ogóle mogłam je uprzedzić, wtedy by się nie fatygowały.

Czy byłam wcześniej drużynową? Nie. Ani drużynową, ani zastępową. Sama nie wiem, czy to, do czego należałam w szkole podstawowej, to było harcerstwo. Tak naprawdę to działały w niej tylko drużyny zuchowe.

Obietnica zuchowa, Przysiężenie? Nie, nie składałam. Moja drużynowa sama nie wiedziała, jak się je robi, i po prostu dała nam na zbiórce książeczki i znaczki zucha. Z Przysiężeniem było praktycznie tak samo i właściwie, przejmując drużynę, nie posiadałam doświadczenia i **nie wiedziałam, jak to jest po tamtej drugiej stronie**. Na szczęście, jak już wspomniałam, wszyscy posiadali krzyże i Przysiężenia nie musiałam organizować.

Miałam natomiast problem z przyznaniem stopnia tropiciela. Zdobywaliśmy go w tym roku (niestety, nie posiadałam regulaminu ani wymagań zdobywania stopni) i nie wszyscy pracowali tak samo, dlatego nie wiedziałam, jak postąpić. Czy przyznać go wszystkim, tak jak poprzednio przyznawała stopień ich drużynowa, czy tym, którzy zasłużyli? Jeżeli przyznam go tylko części harcerzy, to reszta się obrazi – taki wiek.

Czy zwracałam się o pomoc do szczepowej lub opiekuna szczepu? Chętnie bym to zrobiła, ale szczepowa nie ma dla nas czasu. Funkcję tę pełni nauczycielka klas młodszych w tej szkole, która uzupełnia wyższe wykształcenie. Z pewnością więc, mimo szczerych chęci z jej strony, brak czasu uniemożliwia szersze realizowanie zadań w szczepie. Z tych też powodów na pomoc szczepowej przy organizowaniu imprez nie miałam co liczyć. O opiekunach szczepu tak naprawdę to nie słyszałam, a jeśli tacy są, to tylko na papierku.

W szkole pracują cztery drużyny zuchowe i z nimi nie ma w zasadzie kłopotu. Gorzej jest z drużynami harcerskimi. Oprócz mojej działa jeszcze jedna, w równoległej klasie VI, ale jakakolwiek współpraca z nią odpada, ponieważ sama prowadzę drużynę i jest mi trudno zorganizować jedną imprezę typu bieg sprawnościowy czy podchody. Wszystkie wyjścia w teren sprawiają mi masę kłopotów, bo jak by nie było, jestem zdana na własne siły i w dodatku niepełnoletnia. Po każdym wyjściu, kiedy nalatam się jak głupia, żeby ich upilnować i w miarę przyzwoitości doprowadzić całych do domu, mam dosyć całego harcerstwa.

Wiem, że **karać ich nie można, bo to podobno niepedagogiczne**, ale co mam zrobić, kiedy im na nagrodach nie zależy? Oni chyba chcieliby, żebym im dała spokój i nie zwracała głowy żadanymi zadaniami.

Chciałam znaleźć kogoś do pomocy, ale w hufcu mi powiedziano, że brak kadry, a między moimi znajomymi nie widzę nikogo, kto mógłby coś zrobić. Ci, którzy nie należą do harcerstwa, ograniczają się do podziwiania mojej aktywności społecznej, a ci, którzy należą do HSPS, są przeważnie w takich drużynach, w których się nic nie robi i w których ktoś inny się martwi tym, jak ich zmobilizować do działania.

Oprócz zwykłych zbiórek nie zabrakło również imprez o większej skali. Na festiwalu piosenki harcerskiej na terenie naszego hufca dziewczęta – jak wspomniałam, tylko one śpiewają – zajęły II miejsce. Ale tego, co się działo cztery dni przed imprezą, nie da się opisać. Ciągłe albo się któraś pokłóciła, albo obraziła, albo piosenka przestała im się podobać, albo chciały śpiewać z gitarą. A kiedy przyszedł kolega z gitarą, to skończyło się na tym, że nie będą śpiewać, bo się wstydzą. W końcu same zaśpiewały na festiwalu piosenkę, którą po długich kłótniach ustaliły, i jakoś wyszło.

Dziś właśnie wróciłam z marszu HMSBW (Harcerskie Marsze Szlakami Bojowymi Wybrzeża). Właściwie to przez te marsze miałam zrezygnować z drużyny, bo miałam już tego dosyć. W marszach miało brać udział tylko sześć osób z drużyny, więc ustaliliśmy, że pójdą dziewczęta, które przeszkoliłam, którym dałam książki i zeszyty, żeby nie były takie całkiem zielone. W czwartek wpadła do mnie zastępowa z wiadomością, że trójka dziewcząt zrezygnowała, bo im się nie chce, bo nie mają kangurek, menażek i w ogóle to w niedzielę...

Fakt, u nas w szczepie nic nie ma. Busoli nikt z harcerzy na oczy nie widział, a dwa kompasy, które są w szkole, leżą popsute i nic się na to nie poradzi, bo podobno brakuje funduszy.

Ale przecież harcerz zawsze sobie poradzi. Zmobilizowałam w końcu trzech chłopców i poszli z pozostałą trójką dziewcząt. Pierwszego miejsca wprawdzie nie zajęli, tylko piąte, ale przy ich umiejętnościach to i tak sukces. Patrol, wracając do domu, doszedł do wniosku, że chce być jednym zastępem, w takim składzie, w jakim brali udział w marszach. Nie wiedziałam, co zrobić. Gdybym pozwoliła, to byłiby wprawdzie najlepszym zastępem i wiem, że w takim składzie mogliby dużo zrobić, ale wtedy pozostałe zastępy byłyby całkiem do niczego, więc nie pozwoliłam.

Piszę to wszystko, choć właściwie się zastanawiam, **po co**. Od nowego roku szkolnego zdecydowałam się zmienić szczep, a najchętniej i hufiec. Chciałabym zacząć pracę z prawdziwą drużyną, z harcerzami, którzy wstąpili do harcerstwa, bo chcieli być w prawdziwym szczepie, w którym szczepowa ma choć godzinę w miesiącu dla mnie, gdzie jest harcówka lub choćby możliwość korzystania z jakiegoś pomieszczenia.



Poza tym mam kompletnie dosyć (to podobno ze względu na mój wiek nie wypada) zawiści i kłótni szczepowej z hufcem i „starych panien” w hufcu, które z nudów potrafią człowiekowi obrzydzić życie. Dotyczy to także dawnej drużynowej, która na początku, kiedy chciała, abym objęła jej drużynę, była dla mnie bardzo miła, obiecywała pomoc, możliwość pracy w referacie i w ogóle cuda! Teraz ze względu na jej osobiste antypatie do szczepowej zawiadomienia o wszystkich imprezach hufca docierają do szczepu w dniu imprezy lub w przeddzień, w czasie gdy pozostałe szczepy wiedzą o wszystkim od tygodnia lub dwóch.

Zawsze staram się być choć raz w tygodniu w hufcu (choć jest mi to nie po drodze, a jechać muszę zaraz po szkole z teczką przez prawie całe miasto, bo otwarty tylko do 15.00). Na początku czasem dowiedziałam się, co i kiedy będzie, teraz otrzymuję odpowiedź: „Od czego masz szczepową, niech ci powie” albo: „Wyślemy ci zawiadomienie”.

Czy tak postępują instruktorzy? Starsi służą przykładem? – w takim razie ja rezygnuję, bo właściwie powinno się harcerzom ułatwiać pracę, a przynajmniej nie utrudniać.

Miałam z drużyną jechać na obóz. Szczepowa obiecywała, że będę z nimi jako obożna w jednym podobożu i w ogóle będzie raj. W końcu jednak okazało się, że ten raj będzie mnie kosztował ok. 2 300 zł i rodzice się nie zgodzili. Będę się opiekowała zuchami i pomagała przy nich – to z kolei mnie nie za bardzo odpowiada, w końcu na obóz miałam przecież jechać ze swoją drużyną!

Może jestem trochę niesprawiedliwa w ocenie sytuacji, ale cały rok starałam się nie zwracać na nic uwagi i koncentrować na pracy z drużyną. Czasami myślę, że moja praca z drużyną też mogła wyglądać inaczej.

Może największą winę ponoszę ja? Może po prostu nie wystarczą chęci, trzeba jeszcze czegoś więcej, a ja tego nie mam?

Chciałabym jednak spróbować jeszcze raz. Myślę, że teraz już wiem jak. A właściwie tak naprawdę to tylko wydaje mi się, że coś więcej wiem. Powiecie, że uczymy się na własnych błędach, że trudno ich uniknąć – to prawda. A tak w ogóle to może Wy wiecie, co ja mam ze sobą zrobić? Co Wy byście zrobili na moim miejscu? Czy jest sens próbowania jeszcze raz?

27 sierpnia 1978 roku

Doszedłem do wniosku, że
nie ma dla mnie miejsca
w naszym hufcu, chorągwi
i w harcerstwie...



*Samotny
i niepotrzebny*

Impuls

TYGODNIK ZWIĄZKU HARCESTWA POLSKIEGO

NR 16 (1028) 22 KWIETNIA 1979 r. ROK XXIX CENA 2,50 zł.

WOJCIECH ŚLIWERSKI

SAMOTNY i NIEPOTRZEBNY

Ciąg dalszy ze str. 1

ZANIM DOSZŁO
DO KONFLIKTU...

Nielatwy był start Ryska w harcerstwie i jeszcze trudniejsza dalawa w nim działalność. Samotny i niepotrzebny, zawsze z boku i z dala od innych. Chociaż serce (za miły miesiąc sercowy), nadeśnienie i nerwica wyniosły degradowały jego udział w życiu i zabawach rówieśników. Bardziej niż choroba ciążyła mu samotność i brak przyjaciół.

Osobista szansa stanowi-

pracy w ZHP. Podjął ją pod wpływem namowy jednego z kolegów i... nie ślawał. To było coś nowego, fantastycznego, urzekającego bogactwem wrażeń i światła przesyłać. Ale i tu, w szeregach organizacji, brak zdrowia stawał go „nieś” wśród rówieśników. W domu uczył się mówić, żeby im dorównać i zdobyć autorytet. Codzienna, monotonna praca nad sobą pozwoliła mu przezwyciężyć nerwicę wyniosły. Przestał się ślawać. Tam, gdzie nie pomógł wizyty u lekarza, skutecznym lekarstwem okazała się praca w drużynie. Przez harcerstwo odnalazł

Bardzo polubił pracę z dziećmi. Nieraz myślał: „Skoro ja nie mogę biegać, grać w piłkę i robić coś pożytecznego, to powinienem pomóc innym. W szkole nie brakuje dzieci nieśmiałych, chorych i z różnych powodów osamotnionych. Pragnęłam, żeby i one miały coś z życia.”

W ten sposób chciał „spłacić dług” harcerstwa.

BLASKI I CIENIE HARCERSKIEJ KARIERY*

Zaczął od zastępu. Miał wiele własnych pomysłów i propozycji, z których najlepsze wcielali w życie. Wierdce prowadziły najlepsze zastępy w drużynie. Nowy drużynowy zaproponował Ryskowi funkcję przyboczego. Przyjął ją. Już wtedy praca drużyny spoczywała na jego barkach. W następnym roku otrzymał drużynę i stopień organizatora, a w dwa lata później, po kursie, podharcmistrza.

Jednocześnie rozpoczął naukę w zawodowcu i jako jej uczeń był „napietnowany” (traktowany jako ktoś gorzej od licealisty lub ucznia technikum) przez środowisko.

Do dziś pamięta dyskusję dyrektora z opiekunem harcerstwa (niezdecyduje w szko-

cy wysłać go na organizowany przez Komendę Chorągwi kurs drużynowych MSR-u.

Nie wysłał. Już wtedy, w ósmej klasie, nie widział w nim inżyniera. A jednak!

„Efekty systematycznej pracy sprawiły, że szybko awansował. Objął drużynę MSR-u i został wybrany do rady hufca, rozpoczynając równoległe prace w referacie młodzieżoharcerskim.

Do pracy w drużynie wprowadził wiele zmian, oplatując ją na zastępach, przewracając więcej uwagi do samowolności, pracy rady drużyny oraz uprawiania sportu i turystyki. Chciał młodszymi kolegami pokazać organizację z jak najlepszej strony. Prowadzona przez Ryska 43 drużyna harcerska MSR-u szybko uzyskała opinię najlepszej w powiecie. Na przestrzeni wielu lat zdobywali wyróżnienia i dyplomy w konkursach, alertach, na pracę w nieobozowej akcji letniej, akcie środowiskowej i społecznej. Często pisała o nich lokalna i ogólnopolska prasa: „Dziennik Bałtycki”, „Standard Młodej”, „Młot”, „Świat Młodych” i inne. Warto wspomnieć przy tej okazji o pierwszym miejscu w ogólnopolskim konkursie dla szkół, ogło-

„Młodych” i wygranym w nim sprzecie turystycznym wartości 13 tys. czy wyróżnieniu i udziale jednego z zastępowych w spotkaniu z przewodniczącym Rady Państwa, prof. Henrykiem Jabłońskim.

Takich sukcesów nie osiągnął nikt przed Ryskiem i po nim.

CISNIENIE NIECHĘCI

Rytmiczna i coraz lepsza praca drużyny wyzwała uczucie zadowolenia i satysfakcji, pobudzając do dalszej działalności. Niepokój budziła zazdrość i niechęć z jaką spotykał się ze strony otoczenia. Osamotniony w propagowaniu idei autentyzacji, harcerskiej przygody i pracy zrzeczenia z udziału w pniach referatu harcerskiego i rady hufca, koncentrując swój wysiłek na drużynie. Z każdym dniem narastała wokół jego osoby dziwna atmosfera i opinia mała. Po wprowadzeniu w drużynie podziału na zastępy i w ich ramach obrotowości (propozycji), zarzucono mu fanaberie i tworzenie prywatnego harcerstwa.

Po zawodowcu podjął pracę w elektrociepłowni. Odłód dla młodego robotnika skłóczyły się wyrocznia i awanse. Z dnia na

Doszedłem do wniosku, że nie ma dla mnie miejsca w naszym hufcu, chorągwi i w harcerstwie. Okazałem się za słaby, by bronić własnych poglądów i zamierzeń. W jednej chwili zniszczono cały dorobek mojego życia. Jestem załamany.

Czy to źle, że chciałem aktywnie działać? Dlaczego ja, instruktor-robotnik, jestem tępony i poniżany?

Ryszard

Pisma o rozwiązaniu Harcerskiej Poradni Metodycznej „Krag” o specjalizacji MSR i o urlopowanie Ryszarda jednocześnie wpłynęły do komendy hufca, chorągwi i Głównej Kwatery.

Instancje milczały.

Decyzję o rozwiązaniu poradni i o własnej rezygnacji podjął zbyt impulsywnie i emocjonalnie. Nigdy by do niej nie doszło, gdyby nie narastająca od lat wokół jego osoby i działalności dziwna atmosfera i opinia maniaka. W tej sytuacji wystarczyła jedna wizytacja z komendy chorągwi i brak oparcia w środowisku, by mozolnie budowany świat wartości runął jak domek z kart.

ZANIM DOSZŁO DO KONFLIKTU...

Nielatwy był start Ryśka w harcerstwie i jeszcze trudniejsza dalsza w nim działalność. Samotny i niepotrzebny, zawsze z boku i z dala od innych. Chore serce (zbyt mały mięsień sercowy), nadciśnienie i nerwica wymowy degradowały jego udział w życiu i zabawach rówieśników. Bardziej niż choroba ciążyła mu samotność i brak przyjaciół.

Ogromną szansę stanowiła dla niego propozycja pracy w ZHP. Podjął ją pod wpływem namowy jednego z kolegów i... nie żałował. To było coś nowego, fantastycznego, urzekający bogactwem wrażeń świat przeżyć. Ale i tu, w szeregach organizacji, brak zdrowia stawiał go „niżej” wśród rówieśników. W domu uczył się mówić, żeby im dorównać i zdobyć autorytet. Codzienna mozolna praca nad sobą pozwoliła mu przezwyciężyć nerwicę wymowy. Przestał się jękać. Tam, gdzie nie pomogły wizyty u lekarza, skutecznym lekarstwem okazała się praca w drużynie. Przez harcerstwo odnalazł siebie wśród rówieśników.

Bardzo polubił swoją pracę z dziećmi. Nieraz myślał: „Skoro ja nie mogłem biegać, grać w piłkę i robić czegoś pożytecznego, to powinienem pomóc innym. W szkole nie brakuje dzieci nieśmiałych, chorych i z różnych powodów osamotnionych. Pragnąłem, żeby i one miały coś z życia”.

W ten sposób chciał spłacić dług harcerstwu.

BLASKI I CIENIE HARCERSKIEJ KARIERY

Zaczął od zastępu. Miał wiele własnych pomysłów i propozycji, z których najlepsze wcielali w życie. Wkrótce prowadził najlepszy zastęp w drużynie. Nowy drużynowy

zapropował Ryśkowi funkcję przybocznego. Przyjął ją. Już wtedy praca drużyny spoczywała na jego barkach. W następnym roku otrzymał drużynę i stopień organizatora, a dwa lata później, po kursie, podharcmistra.

Jednocześnie rozpoczął naukę w zawodowce i jako jej uczeń był napiętnowany (traktowany jako ktoś gorszy od licealisty lub ucznia technikum) przez środowisko.

Do dziś pamięta dyskusję dyrektora z opiekunem harcerstwa (jeszcze w szkole podstawowej) nad tym, czy wysłać go na organizowany przez komendę chorągwi kurs drużynowych MSR-u.

Nie wysłali. Już wtedy, w ósmej klasie, nie widzieli w nim instruktora. A jednak!

Efekty systematycznej pracy sprawiły, że szybko awansował. Objął drużynę MSR-u i został wybrany do rady hufca, rozpoczynając równoległe pracę w referacie młodszoharcerskim.

Do pracy w drużynie wprowadził wiele zmian, opierając ją na zastępach i przywiązując więcej uwagi do samorządności, pracy rady drużyny oraz uprawiania sportu i turystyki. Chciał pokazać młodszym kolegom organizację z jak najlepszej strony. Prowadzona przez Ryśka 42 drużyna harcerska MSR-u szybko zyskała opinię najlepszej w powiecie. Na przestrzeni wielu lat zdobywali wyróżnienia i dyplomy w konkursach, alertach, za pracę w nieobozowej akcji letniej, akcje środowiskowe i społeczne. Często pisała o nich lokalna i ogólnopolska prasa: „Dziennik Bałtycki”, „Sztandar Młodych”, „Motywy”, „Świat Młodych” i inne. Warto wspomnieć przy tej okazji o pierwszym miejscu w ogólnopolskim konkursie dla szkół, ogłoszonym przez „Sztandar Młodych” i wygranym w nim sprzecie turystycznym wartości 15 tys. czy wyróżnieniu i udziale jednego z zastępowych w spotkaniu z przewodniczącym Rady Państwa prof. Henrykiem Jabłońskim.

Takich sukcesów nie osiągnął nikt przed Ryśkiem ani nikt po nim.

CIŚNIENIE NIECHĘCI

Rytmiczna i coraz lepsza praca drużyny wyzwalała uczucie zadowolenia i satysfakcji, pobudzając do dalszej działalności. Niepokój budziła zazdrość i niechęć, z jaką spotykał się ze strony otoczenia. Osamotniony w propagowaniu idei autentycznej harcerskiej przygody i pracy, zrezygnował z udziału w pracach referatu harcerskiego i rady hufca, koncentrując swój wysiłek na drużynie. Z każdym dniem narastała wokół jego osoby dziwna atmosfera i opinia maniaka. Po wprowadzeniu w drużynie podziału na zastępy i w ich ramach obrzędowości (proporce) zarzucano mu fanaberie i tworzenie prywatnego harcerstwa (sic!).

Po zawodowce podjął pracę w elektrociepłowni. Odtąd dla młodego robotnika skończyły się wyróżnienia i awanse. Z dnia na dzień „topniał” krąg osób zainteresowanych pracą z młodzieżą.

Przez siedem lat prowadził drużynę, pełniąc równocześnie funkcję zastępcy szerepowego. Odtąd zawsze był tym drugim w hierarchii i tym pierwszym, gdy było coś do zrobienia. Wszyscy dawali mu do zrozumienia, że jako robotnik nie może liczyć na

nie więcej. Nie miał szczęścia do przełożonych. W ciągu tych siedmiu lat zmieniło się pięciu szefów, przy czym każdy następny miał niewiele większe od poprzedniego pojęcie o pracy harcerskiej. Ryszard sam ciągnął tysiąc wózków na raz. Odpowiadał za pracę szczerpu, każdej z drużyn (zuchowych i harcerskich), sprawy organizacyjne, programowe i metodyczne. Tracił energię w potyczkach z dyrekcją o partnerską działalność szczerpu na terenie szkoły i z niezbyt szczęśliwymi pomysłami niezorientowanych w metodyce szczerpów.

Spytałem go, dlaczego nie został szczerpowym.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się serdecznie. – Ja szczerpowym? Jestem przecież robotnikiem! Gdybym był nauczycielem lub miał tytuł naukowy przed nazwiskiem, nie byłoby problemu! Dla instruktora-robotnika to za wysoka funkcja, a on sam swoim pochodzeniem przynosi wstyd organizacji (sic!). W hufcu od dawna ubolewają nad moim wykształceniem... Dawniej objęcie funkcji szczerpowego było bardziej realne, ale nikt mi jej nie zaproponował, a sam nie pójdę i nie powiem, że chcę ją pełnić. Od dwóch lat szkoła ma etat i nie da go robotnikowi, razem z nim skończyły się moje marzenia...



NA KRAWĘDZI...

Zbyt szeroki zakres i pole działania pochłaniały jego energię i czas. Powoli tracił wiarę w sens, efektywność i skuteczność pracy. Potrzebował oparcia i pomocy. Wertując pracę harcerską, trafił na adres Harcerskiej Poradni Programowo-Metodycznej „Impuls-

„Motywy”. Nie zastanawiał się długo. Był jednym z pierwszych stałych jej korespondentów. Każdy list z poradni zawierał konkretne instrukcje, propozycje i rady. Zmieniał je częściowo, opracowywał i przystosowywał do aktualnych możliwości i warunków pracy szczepu. W Łodzi, podczas spotkania zorganizowanego przez Poradnię, poznał nowych ludzi, otrzymał bezpośrednią pomoc i wiele materiałów. Przez całą noc dyskutowali o dalszej pracy, oglądali kroniki, omawiali propozycje wspólnych działań. Idea niesienia pomocy i poradnictwa zyskała w jego osobie gorącego zwolennika. Wracał do Kartuz, myśląc o tym, jak wiele jest jeszcze do zrobienia.

Po konsultacjach z dyrektorem szkoły, szczepową i instruktorami założył poradnię metodyczną „Krağ” przy... szczepie. Informację o niej wysłał do komendy hufca, chorągwi, Głównej Kwatery i Poradni „Impuls-Motywy”. W środowisku przyjęto ją jako „nowy wymysł zwariowanego instruktora”. Mało kto, poza Ryśkiem, wierzył, że przetrwa ona dłużej. Pierwsze listy, porady, notatki w „Motywach” i „spływające” regularnie z Łodzi materiały rozwiązywały dotychczasowe wątpliwości. Obok tego faktu nie można było przejść obojętnie.

W ogniu krytyki

Początkowo nic nie wróżyło tragedii. Podczas rozmowy (w czasie wizytacji szczepów) z instruktorami komendy chorągwi okazało się, że sprawa nie jest łatwa. W instancji pracują już kilka lat, a nie zdobyli się na taką inicjatywę i nie ośmielili ogłaszać się na forum ogólnopolskim. Zapytano także Ryśka o uprawnienia (kursy, szkolenia) upoważniające go do podjęcia tej działalności. W dyskusji sugerowano przyjęcie przez Poradnię specjalizacji i obiecano pomoc. W ślad za nią Poradnia otrzymała z tej instancji bogaty zestaw materiałów (roczniki: „Drużyny”, „Propozycji”, „Zuchowych Wieści”, „Harcerstwa” itp.). Odpowiednie zaplecze metodyczne pozwalało z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Atmosferę spokojnej pracy zakłócił telefon z komendy chorągwi do komendy hufca: „Co wy znów wyrabiacie?! Co to za poradnia o specjalizacji MSR-u, o której nikt nic nie wie...?!”.

Niepokój w instancji wywołała także notatka na ten temat w „Świecie Młodych” (nr 13 z 30 stycznia 1979 roku). Dotychczas Poradnia podlegała pod wydział kształcenia i chorągwaną szkołę instruktorów. Po przyjęciu specjalizacji „nowym tworem” zainteresował się referat MSR-u Komendy Chorągwi. Ryszard, aby wyjaśnić nieporozumienie, przyjechał do Chorągwi z pełną dokumentacją:

[...] Początkowo rozmawiałem z kierowniczką Chorągwaną Szkoły Instruktorskiej. Czekał na druhnę Wandę (kierowniczkę referatu MSR), by przejść na rozmowę do zastępcy komendanta chorągwi. Gdy przyszła, opuścili mnie na pół godziny, zawiadamiając po powrocie, że rozmowa z zastępcą nie będzie konieczna. Jednocześnie druwna Wanda wzięła inicjatywę w swoje ręce. Zaczęła od totalnej krytyki: kim ja właściwie jestem? Nikt nigdy o mnie nie słyszał i nie wiadomo, co robię w harcerstwie! Gdyby taką inicjatywę podjęła komenda chorągwi, ale szczep...? Zażądała również mojej prywatnej koresponden-

cji (sic!), a gdy odmówiłem, stwierdziła, że chcę przy pomocy znajomych uzdrowić harcerstwo. Tłumaczyłem, że poradnia jest bazą metodyczną dla środowiska, a jej zadaniem jest pomoc i aktywizacja kadry drużyn i szczepów. Wtedy dowiedziałem się, że w hufcu ubolewają nad moim wykształceniem i jako robotnik nie mam prawa podejmować takiej inicjatywy. Moje wygórowane ambicje mogą tylko zaszkodzić Związkowi.

Następnego dnia druhna Wanda zjawiła się w poradni na czele wizytacji. Znow zaczęło się dochodzenie: z kim i jakie utrzymuję kontakty, kto za mną stoi oraz dzięki jakim znajomościom drukuję w prasie notatki o poradni? Ponownie zażądała prywatnej korespondencji.

Odmówiłem. Wtedy zarzuciła mi organizowanie prywatnego harcerstwa. Ponieważ nie przyjmowała żadnych moich wyjaśnień i argumentów, pokazałem jej rozkaz Naczelnika ZHP („Motywy” 1977), w którym znajduje się apel o tworzenie przez komendantów związków drużyn poradni metodycznych służących instruktorom i młodzieży. Zarzuciła mi wtedy brak przygotowania ideologicznego (jestem sekretarzem POP!), a gdy okazało się, że nie jestem wywrotowcem, zapowiedziała czternaście wizytacji dla zgłębienia pracy poradni... W tym momencie nie wytrzymałem, rozwiązując poradnię z jednoczesną osobistą rezygnacją z pracy w ZHP.

Przytoczony fragment listu zwraca uwagę na fakt przeniesienia ciężaru krytyki z przedmiotu na podmiot inicjatywy, czyli z poradni na instruktora, który ją założył. Nie pomógł mu też nikt z obecnych przy rozmowie: szczepowa, komendant hufca ani dyrektor szkoły.



Kilka tygodni później

W rozmowie z druhną Wandą (w komendzie chorągwi) poznałem inną wersję wydarzeń:

[...] Z Ryszardem od dawna mamy kłopoty. To maniak, który wszędzie pisze i którego już wszyscy mają dosyć. Po mojej rozmowie z komendantem hufca wpadł do Chorąg-

gwi i krzyczał, że chce go zniszczyć. Pojechalśmy na wizytację poznać, czym się zajmuje, i pomóc w prowadzonej przez niego działalności. Był zdenerwowany i nie chciał udostępnić prywatnej korespondencji. Niepotrzebnie się uniósł (podobno jest chory?).

Po co ogłaszał się w prasie? Robotnik. Kim on właściwie jest? Nie ma nawet wykształcenia pedagogicznego...

– Jakie widzi druhna rozwiązanie problemu? Co dalej z Ryśkiem i poradnią?

– Nie wiem. Mamy na terenie Chorągwi dwóch maniaków, z którymi nie możemy dać sobie rady. Z Ryszardem trudno jest rozmawiać i nie widzę takiej możliwości...

Kilka dni później trafiłem na organizowaną przez... Harcerską Poradnię Metodyczną „Krag” o specjalizacji MSR wystawę krajowych poczt harcerskich.

„A jednak działa!” – pomyślałem z nadzieją.

Fachowo zorganizowana ekspozycja zbiorów budziła ciekawość i uznanie. W otwarciu wystawy uczestniczyli komendant hufca, instruktorzy, dyrektor szkoły i zaproszeni goście (przez tydzień mogła ją zwiedzać cała młodzież).

Zapytałem o niedawny konflikt i opinię o Ryśku. Dla nich był on (konflikt) drobnym nieporozumieniem, podczas którego Ryszard niepotrzebnie się uniósł. Jego przyczynę stanowiło założenie Poradni przy szkole podstawowej przez robotnika, co – w zestawieniu z poradniami tworzonymi przy wyższych uczelniach – kompromitowało ich środowisko w całym Związku.

Poradnia zaś jest ciekawą i wartościową inicjatywą, którą warto kontynuować i w czym są gotowi pomóc.

Rysiek, według opinii dyrektora szkoły,

[...] jest urodzonym wychowawcą (sic!) i społecznikiem. Dwa razy w tygodniu pracuje w kotłowni (jest palaczem) całą dobę. Bezpośrednio z pracy przychodzi do szkoły, w której spędza od rana do wieczora cztery dni. Pracuje społecznie z pełnym oddaniem, poświęcając na działalność szczeru więcej czasu niż nauczyciel na etacie. Harcerstwo jest jego wielką pasją. Ma szereg pomysłów, które wdraża na terenie szkoły, i ogromny autorytet u dzieci. Umie pozyskać młodzież, jest przez nią lubiany i choć nie pełni funkcji drużynowego, harcerze zwracają się do niego z wszystkimi sprawami. Szkoła pod każdym względem może liczyć na jego pomoc.

Nie wiem, jakie są i będą dalsze losy Ryśka. Wierzę, że wszyscy zainteresowani jego pracą (a powinno być ich wielu) dojrzą w nim wreszcie wartościowego partnera, a nie, jak dotychczas, „wyrośnięte dziecko”. Czas przetrzeć oczy z zimowego snu i spojrzeć inaczej na jego działalność. Negatywny wpływ środowiska wyraźnie uwidacznia się w postawie bohatera artykułu. Charakteryzuje ją brak wiary i pewności podejmowanych działań.

22 kwietnia 1979 roku

Marek wyjeżdża wcześniej
z kolonii zuchowej; po drodze
odwodzi do domu jednego
z niesfornych pseudoharcery
z innego obozu...



TYGODNIK ZWIĄZKU HARCEŃSTWA POLSKIEGO

NR 49 (1060)

9 GRUDNIA 1979 r.

ROK XXXIX CENA 2,50 zł

Podczas uroczystości kolonii zuchowej — mówi komendant chorągwi — zaprezentujemy, że każdy z nas jest w stanie do przetrwania. Zostanie, próbując zdobyć się do rozmowy. Jeden obywatel nie będzie odnosił i opowiadał, że to nocy był budziłem przez Marika, który spóźnił się na zbiórkę, obywatel gwałci przy mandacie. Próbowaliśmy obrócić tę sytuację w sens, szukając jej sensu w buzi, szukając miłości lub niezrozumienia mi próbami, które musieliśmy przeżyć przed siołecznym Obietnicą. Zaprezentujemy, że pozostałe rzeczy potrafią być jego słowem. Obecnie przy rozmowie kłótnie między nami, na kolonii nie było trybunału, dlatego zanoszono te sytuacje i podczas podsumowania ataki leżały przed nami komendanci hufca, prosząc, by Marek W. zgłosił się do nas nie rozmów.

OSKARZENIE I GROZBY

Właściciel Marek otrzymał w hufca informacje o terminach dodatkowych zaliczeń na kursie drużynowych zuchowych, na którym latem prowadził także zajęć. Dwukrotnie przyjechał ze swojego rodzinnego miasta. Za pierwszym razem kursant na nieprzygotowanie, za drugim — przychodził tylko trzy osoby. Działalność tego nie mogła być ciężką (kardio, której jest więcej niż egzaminowanych, organizmie nie biega i zaliczenie).

Dlażby bóg wydarł wywalił Marka ze spokojnej, flagmatycznej-refleksyjnej równowagi, poruszył i silnie ją zachwiał. Mówi:

— Na próbie drużyny Krystyna (komendantka) referat zuchowego w hufcu zainicjował po bierze, ponieważ miała dla mnie ważną wiadomość. Gdy byłam gotowa, dojechałem się, że podczas lata na kolonii zuchowej budziłem w nocy zuchów, i obywatel mi gwałcił przy mundurach. Ze stosownym nieuprzedzeniem między nami się oploty, z polecenia komendantki hufca do komendanta chorągwi. Tam miałem nadzieję, że nie wygłuszę się, bo nie tylko nie było pełnią danej funkcji na terenie komendy chorągwi, ale również mógł się do mnie dobrać na studiach i nie wiem, czy jest jeszcze pamięć, że — mi obcy nie ma prawa wstąpić do hufca.

tytuł Mistrzów Drużyny Zuchowej. Edmunda wstąpiła na biologiczne i studia na uniwersytecie przerywała, prowadzona w G. działano.

Nie zamierza reagować z niecałkowicie. Zgodnie z obowiązującą Kartą Praw i Obowiązków i słownym zobowiązaniem instruktorów, zgłasza się do komendy chorągwi. Ślad otrzymuje kierowanie do hufca, gdzie pełni funkcję instruktora referatu zuchowego.

Początkowo razem z drużyną Krystyna chodzili na wytyczne drużyny zuchowych. Drużyna od niedawna była namiestnikiem i potrzebowała kogoś do pomocy. Mimo bagażu i trudności na jakiegoś trafila, miała wiele zapasów. Pośpiesznie Marek sam hospitał drużyny. Wyśnawiał terminy zbiórek i w ciągu roku odwiedził około 80 drużyn. Praca w referacie porzuciła mu na szybko poznanie otoczenia i zorientowanie się w sieci układów i powiązań. Sam, jako obcy, był poza nim. Niejednokrotnie stykał się z fikcją i porami pracy. Nie potrafił przemienić tego, co uwała za złe. Ryzykowne na jego słowa są przekazywane z polecenia przez drużynę Krystynę, uważył komendant hufca, która zarząca mu, że nie nie robi, dokoła ją i wyta nos w nie swoje sprawy. Rozumiał, że to jest bardzo trudne, że nigdy, pomimo spotkań w hufcu, nie uzyskał ich bezpośredniego i ust komendanta. Sam, ze względu na drużynę Krystynę, również ich nie kontroliował. Prosta, żeby nie robił sumy, bo mowa nie jest dostojna. Mógł go ta sytuacja i po roku pracy, wyśnawiał się nauka, rezygnując z pełnej funkcji. Formalnie z hufcem nie go już nie łączą.

Jedynym kontaktem z harcerstwem utrzymywał przez Studentki Krag Instruktorów, w którym aktywnie działa i czuje się coraz lepiej. Istotnym momentem w jego życiu okazało się spotkanie z instruktorami kregu z władzami Związku. Podczas dyskusji Markowi wyprawa nie nieopracowała stwierdzenie o wzięciu i pozostaniu pracy znaczącej ilości drużyn zuchowych w byłym hufcu. Ta wypowiedź wywołała zaniepokojenie przedstawicieli władz, a w następnych dniach jest szeroko i z burzeniem komentowana w Chojnie.

nie spełnia elementarnych wymagań stawianych i tego rodzaju przedstawicieli. Jego sprasowanie potwierdza wytyczne Głównej Kwatery.

Marek miał niewielkie zajęcie na kursie, a to, które prowadził usiłowały w pamięci uczestników. Do zaliczeń, z braku materiałów, nikt z kursantów nie jest przygotowany. Z trudnym wysiłkiem porywa się odczyt 3—4 osobom pod warunkiem, że będą pełniły funkcję przybocznych i doświadczonej drużynowych. Poostali mają zaliczać we wreszcie.

Marek z kolonii zuchowej wyjechał wcześniej: ze względu na udział, w rozpoczynającym się obozie naukowym. Po drodze odwiedził do domu jednego z nieformalnych pseudoharcerek z innego obozu. Rodzice kwiliła odbier syna. Póki w hufcu, dzień w trympane pokutowanie, a przy okazji odwiedzić i komendantka mianem kuzynki, ale praco-

dalność. Wiele problemów, z którymi nie co dzień się stykamy dotyczy całej organizacji i trzeba też pracy, by je zmienić, a nie ugodzić nie i brzytwą. Marek to marzył, jałuzna, a nie społecznej uczestnictwa naturą, próbując uciec i uciekać. Nie problem ma, a przebiegające polecenia komendanta ostrzegają, żeby zastanowił się nad swoim słowem, nad tym co i gdzie mówi, czy opiera się na faktach i aby do niego nie formułuje na forum publicznym swoich sądów? Wydało mi się, że tak powinien je odebrać.

Marek W.:

— Pojechałem do komendy chorągwi, żeby wyjaśnić, obciążając nie samą sytuację. W rozmowie z komendantem przyjechałem, że zuch byłby raz w nocy (ok. 24.00) budzić na Obietnicę. Nie mogłam zrobić jej uczestnik, ponieważ

zakończenie ważnego jest naszym obowiązkiem.

Komendant chorągwi:

— Rozmawiałem z Markiem, traktując całą sprawę, jako ostateczną. Nie dookoła jego wstąpi, a nawet pomimo bezpośredniej rozmowy z zuchami, nie jestem przekonany, czy jest on racjonalnie winny. Nie zanoszono nauki zucha, z którym rozmawiałem. Wydało mi się, że poszukiwanie winnego nie jest konieczne. Należy zbadać, że wspomniany incydent w ogóle miał miejsce.

Komendantka kolonii zuchowej:

— Niemalże Marek nie mógł być autorem opisywanych wydarzeń. Od początku do końca uczestnicząc w Obietnicy i byłam podczas budzenia zuchów. Nie podobnego nie jest uprzedzić. Gdyby nawet, podczas mojej obywatelskiej nieuczynności dookoła zuchów gwałcił przy mundurach, to zaliczałabym o tym pierwszą. Zuchy poskarżyłyby się tego samego wieczora lub następnego dnia tak, jak to czynili nieraz w innych obozach. Mnie incydent ten miał miejsce po moim wyjeździe (opuszczenie kolonii na pół dnia przed jej zakończeniem), ale wtedy Marek nie mógł wrócić do nim zalicza. Oboje unieśliśmy tego samego dnia.

NIEOBECNI NIE MAJĄ RACJI

Dalsze rozmowy z instruktorami pozwoliły na ustalenie innej wersji wydarzeń.

Nie ulega wątpliwości, że zuchy mówili prawdę. Nie ulega wątpliwości, że winnym zaliczył był Marek. Ale nie Marek W.

Przebywając jednej z zbiórek zuchowych na tej samej kolonii był druż. Marek S. i to jego imię wymieniły zuchy. Milczenie kasyrki kolonii spowodowane było jego obecnością podczas chorągwijskiej wtyczki.

Dziśno przypisano opisywane zalicze Markowi W.7. Działania nie wiadoma. Prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, że zmniejszając winę na nieobecnego instruktora, żeby kamień węgielny pod problem, który wprowadził tyle zniechęca i przez wiele dni będzie spędzał sen w tej powieści. Nie byłoby sprawy, gdyby nie uświadomił i sumienie większości gwałcił. Zastanawiające jest, że właśnie incydent przynosił

CHOCY

WOJCIECH ŚLIWERSKI

tona wymawia się brakiem czasu na rozmowy. Przyniesiono zaświadczanie również nie chce od Marka przyjąć, radząc, by wysłał je pokornym na adres hufca. Zgodnie z jej życzeniem z najbliższej poczty wysłał pokornie listem pokornym.

W GASZCZU WYJASNIENIE

Drużna Krystyna, namiestnik referatu zuchowego: — z Markiem miałem mnie trochę się dąbiała i dlatego to co się stało, uważam za swoją bliskość upokorzenia, referacja pracownik zbyt krótko, bym mógł go ocenić. Często stawał nas i zaskakiwał faktami dokonywanymi (prapropagował coś o tym sam, nie działał). Miał dużo dobrej woli i chęci, ale nie pracował systema-

komendant sprasowanie zarząd, by cała kłótnia (podobno) i kolonii obrzuciła nim, który nie sprawdził i na który było mało chętnych. Zidnuch lat na kolonii nie zanoszono. Później, czy z kądry był podczas wtyczki, ale dookoła nie, że jest już za późno i nie potrzeba dochodzić prawdy. Zrozumiałem, że jestem z armatni opuszczony.

Komendantka hufca:

— Nie przyjałem oświadczenia rodziców, odwołującego przez Marka, hufca się. Nie do mnie należało zaliczenie tej sprawy. Prosiłam, żeby przesłał do komendanta sprasowanie, a mi się też zbliżył w te rzeczy referatu. Nie chciałam, żeby zgłuszył referat papierała i biurka, a ponieważ należało, żeby je postawił, poleciłam, by wysłał je pocztą. W ten

Marek wyjeżdża wcześniej z kolonii zuchowej ze względu na udział w rozpoczynającym się obozie naukowym. Po drodze odwozi do domu jednego z niesfornych pseudoharcerczy z innego obozu. Rodzice potwierdzają pisemnie odbiór syna. Próbuje on w hufcu złożyć otrzymane pokwitowanie, a przy okazji omówić z komendantką mankamenty kursu, ale przełożona wymawia się brakiem czasu na rozmowy. Nie chce również przyjąć przyniesionego od Marka zaświadczenia, radząc, by wysłał je listem poleconym na adres hufca.

– Podczas wizytowania kolonii zuchowej – mówi komendant chorągwi – zwróciłem uwagę, że zuchy w jednym z namiotów są przestraszone. Zostałem, próbując nakłonić je do rozmowy. Jeden okazał się odważniejszy i opowiedział, że w nocy byli budzeni przez Marka, który spóźnionym na zbiórkę obcinał guziki przy mundurze. Próbowałem obrócić tę sytuację w żart, szukając jej źródła w bujnej wyobraźni malca lub nieznanym mi próbach, które musiał przejść przed złożeniem Obietnicy. Zaprzeczył, a pozostałe zuchy potwierdziły jego słowa. Obecna przy rozmowie kadra milczała. Marka na kolonii nie było (wyjechał dwa dni wcześniej), dlatego zanotowałem tę sytuację i podczas podsumowania Akcji Letniej przekazałem komendantce hufca, prosząc, by Marek W. zgłosił się do mnie na rozmowę.

OSKARŻENIE I GROŹBY

We wrześniu Marek otrzymuje z hufca informacje o terminach dodatkowych zaliczeń na kursie drużynowych zuchowych, na którym latem prowadził część zajęć. Dwukrotnie przyjeżdża ze swojego rodzinnego miasta. Za pierwszym razem kursanci są nieprzygotowani, za drugim – przychodzą tylko trzy osoby. Dłużej już tego nie można było ciągnąć; kadra, której jest więcej niż egzaminowanych, organizuje im bieg i zaliczenie.

Dalszy bieg wydarzeń wyrywa Marka ze spokojnej, flegmatyczno-refleksyjnej równowagi. Mówi:

– Na prośbę drużny Krystyny (kierowniczka referatu zuchowego w hufcu) zostałem po biegu, ponieważ miała dla mnie ważną wiadomość. Gdy byłem gotowy, dowiedziałem się, że podczas lata na kolonii zuchowej budziłem w nocy zuchy i obcinałem im guziki przy mundurkach. Za stosowanie niewychowawczych metod miałem się zgłosić, z polecenia komendantki hufca, do komendanta chorągwi. Tam miałem „siedzieć cicho i nie wygłupiać się”, bo nie tylko nie będę pełnił żadnej funkcji na terenie komendy chorągwi, ale również mogą się do mnie dobrać na studiach. Powinienem też jeszcze pamiętać, że „nikt obcy nie ma prawa wstępu do hufca”.

Ta absurdalna wiadomość i groźby poruszyły nim głęboko. Nie miał innego wyjścia. Wspomniane zagrożenie, wroga atmosfera i zakaz wstępu do hufca zmusiły go do szukania pomocy.

NA OBCYM TERENIE

Marek W. urodził się i mieszka w G. Tam styka się po raz pierwszy z harcerstwem i urzeczony metodami pracy, wstępuje do organizacji. Uwrażliwiony na potrzeby dzieci, poświęca się im całkowicie, prowadząc drużynę zuchową. Z powodzeniem pracując przez cztery lata, otrzymuje symboliczne nagrody, pochlebne oceny wizytacji, a jego drużyna – tytuł Mistrzowskiej Drużyny Zuchowej. Egzaminy wstępne na biologię i studia na uniwersytecie przerywają prowadzoną w G. działalność.

Marek nie zamierza rezygnować z niej całkowicie. Zgodnie z obowiązującą go Kartą Praw i Obowiązków i złożonym Zobowiązaniem Instruktorskim zgłasza się do komendy chorągwi. Stąd otrzymuje skierowanie do hufca, gdzie pełni funkcję instruktora referatu zuchowego.



Początkowo razem z druhną Krystyną chodzi na wizytacje drużyn zuchowych. Druhna od niedawna była namiestnikiem i potrzebowała kogoś do pomocy. Mimo bałaganu i trudności, na jakie trafiła, miała wiele zapału. Później Marek sam hospituje drużyny. Wynotowuje terminy zbiórek i w ciągu roku odwiedza około 50 drużyn. Praca w referacie pozwala mu na szybkie poznanie otoczenia i zorientowanie się w sieci układów i powiązań. Sam, jako obcy, jest poza nimi. Niejednokrotnie styka się z fikcją

i pozorami pracy. Nie potrafi przemilczeć tego, co uważa za złe. Rykoszetem na jego słowa są, przekazywane z płaczem przez druhnę Krystynę, uwagi komendantki hufca, która zarzucała mu, że nic nie robi, dużo żąda i wtyka nos w nie swoje sprawy. Bolał go te oceny, a jeszcze bardziej fakt, że nigdy, pomimo spotkań w hufcu, nie usłyszał ich bezpośrednio z ust komendantki. Sam, ze względu na druhnę Krystynę, również ich nie konfrontuje. Prosiła, żeby nie robił szumu, bo znów się jej dostanie. Męczy go ta sytuacja i po roku pracy, wymawiając się nauką, rezygnuje z pełnionej funkcji. Formalnie z hufcem nic go już nie łączy.

Jedyny kontakt z harcerstwem utrzymuje przez Studencki Krąg Instruktorski, w którym aktywnie działa i czuje się coraz lepiej.

Istotnym momentem w jego życiu okazuje się spotkanie instruktorów kręgu z władzami Związku. Podczas dyskusji Markowi wyrывa się nieopatrznie stwierdzenie o wegetacji i pozorach pracy znacznej ilości drużyn zuchowych w byłym hufcu. Ta wypowiedź wywołuje zaniepokojenie przedstawicieli władz, a w następnych dniach jest szeroko i z oburzeniem komentowana w Chorągwi.

A JEDNAK POTRZEBNI

Pomimo rezygnacji na prośbę drużny Krystyny Marek prowadzi zajęcia na śródrocznym kursie dla drużynowych zuchowych, a po nim – na przedobozowym kursie dla drużynowych zuchowych wyjeżdżających na akcję letnią. Nie umie odmówić, uważając podjętą decyzję za swój obowiązek.

Latem, jako drużynowy, wyjeżdża na kolonię zuchową, by jednocześnie kontynuować przedobozowe zajęcia na znajdującym się obok kursie. Na miejscu ze zdumieniem stwierdza, że nie ma nikogo z uczestników przedobozowego kursu. Nabór w znacznej mierze jest przypadkowy, a kurs nie spełnia elementarnych wymagań stawianych tego rodzaju przedsięwzięciom. Jego spostrzeżenia potwierdzają wizytatorzy Głównej Kwatery.

Marek ma niewiele zajęć na kursie, a te, które prowadzi, utkwiły w pamięci uczestników. Do zaliczeń, z braku materiałów, nikt z kursantów nie jest przygotowany. Z trudem wpisuje pozytywne oceny trzem, czterem osobom pod warunkiem, że będą pełniły funkcje przybocznego u doświadczonych drużynowych. Pozostali mają zaliczać we wrześniu.

Marek z kolonii zuchowej wyjeżdża wcześniej – ze względu na udział w rozpoczynającym się obozie naukowym. Po drodze odwozi do domu jednego z niesfornych pseudoharcerczy z innego obozu. Rodzice pisemnie potwierdzają odbiór syna. Próbuje w hufcu złożyć otrzymane pokwitowanie, a przy okazji omówić z komendantką mankamenty kursu, ale przełożona wymawia się brakiem czasu na rozmowy. Przyniesionego zaświadczenia również nie chce od Marka przyjąć, radząc, by wysłał je poleconym na adres hufca. Zgodnie z jej życzeniem z najbliższej poczty wysyła pokwitowanie listem poleconym.

W GĄSZCZU WYJAŚNIEŃ

Druhna Krystyna (namiestnik referatu zuchowego): Z Markiem więcej mnie łączyło, niż dzieliło i dlatego to, co się stało, uważam za swoją klęskę wychowawczą. W referacie pracowałam zbyt krótko, bym mogła go ocenić. Często stawiał nas i zaskakiwał faktami dokonanymi (przygotowywał coś o czym sam wiedział). Miał dużo dobrej woli i chęci, ale nie pracował systematycznie. Do hufca przychodził sporadycznie, wtedy, kiedy miał czas, a jego rezygnacja była dla mnie zaskoczeniem. Jego pracy nie cechowała chęć poprawy zastanej sytuacji, a my potrzebujemy instruktorów, którzy krytykując, zmuszają nas do wspólnej pracy. Chociaż lubię Marka, to jego postawa utrudniała mi pracę. Dlaczego pochopnie, na podstawie trzech wizytacji, krytykuje pracę drużyn zuchowych, a nie próbuje wspólnie zastanowić się nad problemami naszej pracy? Wiele jest przyczyn tego, że w każdej chwili, gdzieś, na jakimś odcinku, rwie się nam praca, ale nie miałabym odwagi wyolbrzymiać i uogólniać sporadycznych zjawisk. Mam żal do takich instruktorów, którzy nie walczą przez swoją działalność. Wiele problemów, z którymi na co dzień się stykamy, dotyczy całej organizacji i trzeba lat pracy, by je zmienić, a nie wycofywać się i krytykować. Marek to marzyciel, fantasta, o niespokojnej wewnętrznej naturze, próbujący walczyć z wiatrakami. Nie groziłam mu, a przekazując polecenie komendantki, ostrzegałam, żeby zastanowił się nad swoimi słowami, nad tym, co i gdzie mówi, czy opiera się na faktach i zbyt pochopnie nie wypowiada na forum publicznym swoich sądów. Wydaje mi się, że tak powinien je odebrać.

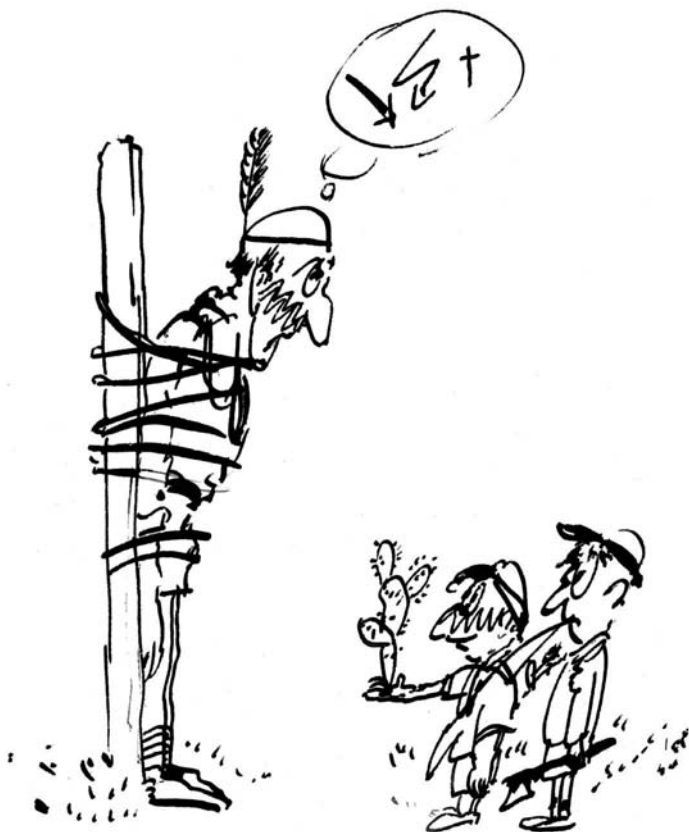
Marek W.: Poszedłem do komendy chorągwi, żeby wyjaśnić obciążającą mnie sytuację. W rozmowie z komendantem przyznałem, że zuchy były raz w nocy (ok. 24.00) budzone na Obietnicę. Nie mogliśmy zrobić jej wcześniej, ponieważ komendant zgrupowania zarządził, by cała kadra (podobozów i kolonii) obejrzała film, który on sprowadził i na który było mało chętnych. Żadnych kar na kolonii nie stosowałem. Pytałem, kto z kadry był podczas wizytacji, ale dowiedziałem się, że jest już za późno i nie potrzeba dochodzić prawdy. Zrozumiałem, że jestem oczyszczony z zarzutów.

Komendantka hufca: Nie przyjęłam oświadczenia rodziców odwiezionego przez Marka harcerza. Nie do mnie należało załatwienie tej sprawy. Prosiłam, żeby przekazał je komendantowi zgrupowania, a mógł też złożyć je w teczce referatu. Nie chciałam, żeby zginęło wśród papierów na biurku, a ponieważ nalegał, żeby je zostawić, poleciłam, by wysłał je pocztą. W ten sposób trafiło do komendanta zgrupowania. Trudno osobie z innego środowiska zaaklimatyzować się w ciągu roku w nowym otoczeniu. Hufiec skupia ponad tysiąc instruktorów i nie jestem w stanie rozmawiać z każdym. Nie wydaje mi się, że mogłam swoją oceną skrzywdzić Marka jako instruktora, a jeśli takie było jego odczucie, to dlaczego nie sprawdził go w bezpośredniej rozmowie ze mną? Dziwią mnie Marka oceny i brak rozmowy z jego strony. O incydencie na kolonii dowiedziałam się od komendanta chorągwi i na jego polecenie prosiłam, by Marek zgłosił się na rozmowę. Dowiedziałam się, że przyznał się do sto-

sowania niewychowawczych metod. Według mnie znalezienie winnego jest naszym obowiązkiem.

Komendant chorągwi: Rozmawiałem z Markiem, traktując całą sprawę jako ostrzeżenie. Nie dochodziłem jego winy, a nawet pomimo bezpośredniej rozmowy z zuchami nie jestem przekonany, czy jest on rzeczywiście winny. Nie zanotowałem nazwiska zucha, z którym rozmawiałem. Wydaje mi się, że poszukiwanie winnego nie jest konieczne. Należy żałować, że wspomniany incydent w ogóle miał miejsce.

Komendantka kolonii zuchowej: Niemożliwe! Marek nie mógł być autorem opisywanych wydarzeń! Od początku do końca uczestniczyłam w Obietnicy i byłam podczas budzenia zuchów. Nic podobnego się nie wydarzyło. Gdyby nawet podczas mojej chwilowej nieuwagi doszło do obcinania zuchom guzików przy mundurze, to wiedziałabym o tym pierwsza. Zuchy poskarżyłyby się tego samego wieczoru lub następnego dnia, tak jak to czyniły w innych przypadkach. Może incydent ten miał miejsce po moim wyjeździe (opuściłam kolonię na pięć dni przed jej zakończeniem), ale wtedy Marek nie mógł wziąć w nim udziału. Oboje wyjechaliśmy tego samego dnia.



NIEOBECNI NIE MAJĄ RACJI

Dalsze rozmowy z instruktorami pozwoliły na ustalenie innej wersji wydarzeń.

Nie ulega wątpliwości, że zuchy mówiły prawdę. Nie ulega wątpliwości, że winnym zajścia był Marek. Ale nie Marek W.!

Przybocznym jednej z szóstek zuchowych na tej samej kolonii był druh Marek S. i to jego imię wymieniły zuchy. Milczenie kadry kolonii spowodowane było jego obecnością podczas chorągwianej wizytacji.

Dlaczego przypisano zajście Markowi W.? Dokładnie nie wiadomo. Prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, że zrzucając winę na nieobecnego instruktora, złoży kamień węgielny pod problem, który wprowadzi tyle zamieszania i przez wiele dni będzie spędzał sen z powiek. Nie byłoby sprawy, gdyby nie uczciwość i sumienie instruktora organizacji. Zastanawiające jest, że właśnie incydent przypisywany Markowi W. urósł do rangi problemu. Głównie dlatego, że w tym samym czasie i na tym samym terenie innych, niewychowawczych incydentów nie brakowało. Wcześniej pisałem o decyzji komendanta zmuszającej do udziału w filmie całej kadry zgrupowania (śpiące zuchy pozostawione bez kadry i warty). W książce pracy kursu drużynowych zuchowych zwraca uwagę fragment: „Raport karny dla Grażyny K. za niewykonanie rozkazu i nieprawidłowe pełnienie warty nocnej. Za karę poszła do pracy w kuchni”.

Stronę dalej wcześniejsza wizytacja z komendy chorągwi bez zastrzeżeń składa podpisy...

9 grudnia 1979 roku

Szymon wierzył, że wystarczą
przekonania, chęci, marzenia,
by zmienić świat na lepszy,
mówiąc krótko - narzucić mu
swą wolę...



STWORZONY DO KŁĘSKI

WOJCIECH ŚLIWERSKI

3 marca 1979 roku do Harcerskiej Poradni Programowo-Metodycznej „Impuls-Motywy” przyszedł list o dramatycznej treści:

"Proszę do was, ponieważ potrzebuję pomocy. Już drugi rok prowadzę w szkole podstawowej harcerską drużynę „Orli”. Wyczerpałem wszystkie swoje pomysły i wiadomości. Nie chcę powtarzać co trzecią zbiórkę tego waszego, co dotąd robiliśmy. Chciałbym, by były one atrakcyjne (może, jak wprowadzić, coś nowego?), ponieważ zauważyłem, że harcerze nudzą się na zbiórkach.

Do harcerstwa ustąpiłem pięć lat temu z uwagi na niepełną wiedzę z zakresu podstawowych. Wtedy właśnie mi się podobalo. Marzyłem o pięknych, woskowych przypodobał mi się podobalo. Marzyłem o pięknych, woskowych przypodobał mi się podobalo. Marzyłem o pięknych, woskowych przypodobał mi się podobalo. Kochałem mundur harcerski.

Z upływem lat zaobserwowanem niekorzystnie zmiany u harcerzy. Nudzi ich praca w organizacji, testują się mądrum, uważając się za zbyt dorosłych na jego nożenie. Ale najbardziej boli mnie, że starami nie wierzą w harcerstwo. Trudno opisać to, czego nie ma. Brak funduszy, materiałów, pomocy ze strony szkoły i hufca. Praca drużyn jest fikcją. Wielu instruktorów odeszło z organizacji. Ale to życia trzeba umieć przegrywać.

Ja stinożę prawdziwe harcer-
stwo. Dale słowo instruktora.

Moje imponował mu mundur, egzotyczny blichtr i podziw, z jakim mieszkańcy małego miasteczka, leżącego na południu Polski, traktowali służbę na morzu, nie wiadomo. Przez kilka lat marzenie o niej będzie treścią jego zabiegów, wierszy, listów i sensu życia.

— Był okresy — mówi mama Szymona — kiedy nie mogłymiś dać sobie rady z tego pragnieniem. Już widział siebie na morzu, powtarzał nieznane lądy i ocean, opowiadał, gdzie to ma nie zabierze. Zawsze był bardzo wrażliwy, uczuciowy, wychowany z szlaku podziemia do domu, rodziców i rodziców, w atmosferze szczeroty, uczciwości i pełnoty postępowania. Czasami żałuję i myślę, że się zrobiał, tak wychowując dzieci. One nie mogą się pogodzić z przyzwyczajeniem do niewłaściwego, często złego postępowania ludzi, a przecież to życie jest różne i trzeba być także na taką esencjalność przygotowanym.

U Szymona bezradność potęgowała marzenia. Po szkole podstawowej wysłał papiery do Liceum Morskiego, ale nie podejmując w nim nauki. Śmierć ojca jest wystarczającym powodem, by wycofać dokumenty i złożyć je w miejscowej Zasadniczej Szkole Budowlanej. W tym momencie, mniej lub bardziej świadomie,

பிரதமரவர்களே தீர்மானிப்பார்கள்.

[illegible]

Wiem, że nie ma hoteli. Ja chcę zrobić sobie kurs w czarnocuś wakacjach. Miesiąc szybko leci. Może będę mieszkał w kacie jakiegoś okrętu, a może będę mieszkał na doroce pod moim, ale ja będę musiał zdać w czarnocuś ten miesięczny kurs".

Seymour Wrons

Wysłał blisko 70 listów podobnej treści. Na jego ofertę podjęcia nauki lub pracy na morzu

choć często jeszcze używa w treści marynistycznych przenośni:

Wszystkie swoje umiejętności, marzenia ukoziłem a organizacją. Pokochałem harcerzy całym sercem. Byłem twórcą i założycielem, jak trzeba być twórcą i założycielem przy zrealizowaniu moralnych zastrzeżeń. Ale ja nie przepuściłem osobistych zastrzeżeń. Gdy pracuję w organizacji osiągnęłam sukcesy i żałuję, że nie mam nikogo, komu mógłbym przekazać swoje doświadczenia. Chciałem się dalej uczyć, udowodnić wszystkim, że nie jestem goraz od nich, ale teraz po co, dla kogo?». —

W naszym miasteczku dobrze działające harcerstwo nie ma równego sobie partnera, zastępując w „pobitym polu” pozostałe formy spędzania wolnego czasu. Dla aktywnego instruktora jest to wspaniały teren do działania. A Szymon jest niesamowicie ambitny, spragniony sukcesów i gotów na wszystko, by zwrócić na siebie uwagę.

Nie orientuje się w harcerskiej metodyce. Ma luki w podstawowych wiadomościach. Harcerstwo zna z kilku dobrych obozów

1 przypadkowego wyjazdu na kurs
drużynowych HSPS do Oleśnicy.

Umiejętnia i z wyczuciem korzystają z dotychczasowych do-

s nief całkowicie ze wzgledu na ocenę ze sprawowania. Często za miast przekonywania o słuszności i celowości określonych działań, kazano im coś wykonać, itp. Nie walczy z przeciwnościami i trudnościami, po co? „Bez pleców” i poparcia nie miał żadnych

Zmienia szczep. Z zadowoleniem odnotowuje, że po jego odejściu rozrypuje się poprzednia jednostka. Mimo wszystko przekonuje się, że bez niego szczep nie może działać:

„Dopóki byłem zastępcą komendanta, drużyny w szkole pracowni-
cy. Gdy odszedłem, wszystko ru-
nęło. Na zbiórki nikt nie chodzi.
Szczepowa liczyła tylko na mnie”
— w chwili później dodaje — „za-
łożyłem drużynę legitymacje
Młodników Klubu Morza. Har-
cerze bardzo się ucieszyli i powie-
dzieli, że nie będą chodzić na
zbiórki, gdy mnie nie będzie (wojs-
ko). Będę starał się wyjść wczes-
niej z wojska i dać z siebie tyl-
ko, by szkoła (szczęp) znów po-

W każdej dziedzinie życia i na każdym jego etapie osiągał sukcesy: był wzorowym uczniem, dobrym instruktorem, cenionym żołnierzem (najlepszym sportowcem w jednostce), a jednak nie dostrzegał tych osiągnięć, nie wierzył w siebie i w swoje możliwości. Cierpił na kompleksy urodził, wykastaleni, własnej wartości i przestroambi. Nie potrafił cieszyć się drobiazgami. I chociaż nikt nie mówi, że jest gorzki, chce być lepszy od wszystkich. Za każdą cenę.

CO DALEJ?

Rozmawiam o Szymonie z jego
byłą przyboczną, szczepową i ko-



Dnia 8 marca 1979 roku do Harcerskiej Poradni Programowo-Metodycznej „Impuls-Motywy” przyszedł list o dramatycznej treści:

Piszę do Was, ponieważ potrzebuję pomocy. Już drugi rok prowadzę w szkole podstawowej harcerską drużynę „Orleń”. Wyczerpałem wszystkie swoje pomysły i wiadomości. Nie chcę powtarzać co trzecią zbiórkę tego wszystkiego, co dotąd robiłem. Chciałbym, by były one atrakcyjne (może jak wprowadzę coś nowego?), ponieważ zauważyłem, że harcerze nudzą się na zbiórkach.

Do harcerstwa wstąpiłem w piątej klasie szkoły podstawowej. Wtedy szalenie mi się podobało. Marzyłem o pięknych, wakacyjnych przygodach i wartach na obozie. Kochałem mundur harcerski.

Z upływem lat zaobserwowałem niekorzystne zmiany u harcerzy. Nudzi ich praca w organizacji, wstydzą się munduru, uważając się za zbyt dorosłych na jego noszenie. Ale najbardziej boli mnie, że starsi nie wierzą w harcerstwo. Trudno opisać to, czego nie ma. Brak funduszy, materiałów, pomocy ze strony szkoły i hufca. Praca drużyn jest fikcją. Wielu instruktorów odeszło z organizacji. Ale w życiu trzeba umieć przegrywać.

Ja stworzę prawdziwe harcerstwo. Daję słowo instruktora... Drużyna będzie nosiła nazwę „Zawisza Czarny Daru Pomorza i Młodzieży”. Obiecuję, że stworzę. Będziemy mieć inne mundury i stopnie, ale krzyż ten sam.

I proszę, pomóżcie mi! Czekam na Waszą pomoc.

Instruktor ZHP Szymon Wrona

Szczególna treść tego listu świadczy, że Szymon rzeczywiście potrzebuje pomocy, ale nie takiej, o jaką prosił. Otrzymał ją. Byliśmy w kontakcie przez cały rok. Ostatnio odwiedziłem go w rodzinnym mieście.

Dramat Szymona polegał na tym, że z jednej strony przy realnej, niskiej ocenie własnych możliwości stawiał sobie abstrakcyjne, nierealne cele. Wierzył, że wystarczy przekonania, chęci, marzenia, by, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmienić świat na lepszy, mówiąc krótko – narzucić mu swoją wolę.

Tak w powyższym, jak i w następnych listach będzie miejsce na żarliwe, pełne fantazji obietnice, bezradność wobec problemów życia, samotność, litość, potrzebę miłości, nienawiść, upór i nadzieję. Szymon zawsze będzie wierzył, że „nieznane potężne siły z zewnątrz” zaangażowane w jego sprawę i ideę pomogą mu pchnąć świat na tory dobra i szczęścia, poznać siebie, ludzi, życie, będzie pisał, pisał, pisał.

MORSKA CHOROBA

Pierwszą wielką pasją było dla tego szczupłego, wysokiego dwudziestolatka morze. Tak naprawdę to nikt nie wie, skąd się ona wzięła. Morze znał z książek i czasopism, wakacyjnych wypraw nad Bałtyk i opowiadań kuzyna odbywającego służbę w Marynarce Wojennej. Może imponował mu mundur, egzotyczny blichtr i podziw, z jakim mieszkańcy małego miasteczka, leżącego na południu Polski, traktowali służbę na mo-

rze – nie wiadomo. Przez kilka lat marzenie o niej będzie treścią jego zabiegów, wierszy, listów i sensu życia.

– Były okresy – mówi mama Szymona – kiedy nie mogliśmy dać sobie rady z jego pragnieniami. Już widział siebie na morzu, poznawał nieznane lądy i oceany, opowiadał, gdzie to mnie nie zabierze. Zawsze był bardzo wrażliwy, uczuciowy, wychowany w silnym przywiązaniu do domu, rodziców i rodzeństwa, w atmosferze szczerości, uczciwości i pewności postępowania. Czasami żałuję i myślę, że źle zrobiłam, tak wychowując dzieci. One nie mogą się pogodzić i przyzwyczaić do niewłaściwego, często złego postępowania ludzi, a przecież w życiu jest różnie i trzeba być także na taką ewentualność przygotowanym.

PISZĘ DO WAS, BO MAM PROBLEM Z PISANIEM...



U Szymona bezradność potęguje marzenia. Po szkole podstawowej wysłała papiery do Liceum Morskiego, ale nie podejmuje w nim nauki. Śmierć ojca jest wystarczającym powodem, by wycofać dokumenty i złożyć je w miejscowej Zasadniczej Szkole Budowlanej. W tym momencie, mniej lub bardziej świadomie, przekreśla dotychczasowe

pragnienia raz na zawsze. Odtąd w kalendarzu jego życia pojawia się po raz pierwszy słowo „pech”, a winą za brak odwagi i samodzielności obarczał będzie los i ludzi.

W nowej szkole podczas zajęć Szymon ulega wypadkowi. Maszyna wciąga w tryby rękę, łamiąc ją w trzech miejscach. Przez sześć miesięcy leży w szpitalu. Nauczyciele chcą go urlopować. Nie zgadza się. Nadzieje na zdobycie zawodu marynarza są jeszcze tak silne, że nie tylko uzupełnia braki, ale kończy pierwszą klasę z wyróżnieniem. Tym wzbudza uznanie grona pedagogicznego. Już wtedy, jeden z nauczycieli, proponuje mu skończenie technikum realnie oceniając zdolności i marzenia Szymona („tylko zmarnują cię te marzenia”). Ale on jest uparty. W czerwcu wysyła papiery do Technikum Rybołówstwa Morskiego. I znów pech!

Mama Szymona idzie do szpitala na ciężką operację. Szymon wycofuje papiery. Podejmuje pracę na budowie, by – jak to sam określa – utrzymać dom, mamę, młodszą siostrę i starszego brata.

Każdy człowiek lubi być dobry. U Szymona przywiązanie do domu i rodziny, potrzeby: uczucia, uznania i miłości skuwają swoją siłą swobodę decyzji i realizacji własnego, wyidealizowanego stylu oraz modelu życia.

Jeszcze raz próbuje zrealizować marzenia, „zmuszając moralnym szantażem” innych ludzi do zaangażowania w sprawę, której nie może, nie umie lub nie chce załatwić, a której i oni nie mają chęci ani siły prowadzić. Sukcesywnie pisze listy do wszelkich możliwych szkół, przedsiębiorstw i redakcji Wybrzeża, błagając o pomoc:

Szanowna Dyrekcjo!

Ten list, który macie w ręku, jest bardzo ważny i zadecyduje o moim życiu. Równocześnie proszę o radę i pomoc. Pisałem już do Was i otrzymałem odpowiedź, że nie posiadacie wolnych etatów. Ponadto nie ma hoteli. Ja bardzo pragnę być marynarzem i pracować w Waszym przedsiębiorstwie. Mam skończoną szkołę podstawową, a teraz skończę zasadniczą szkołę budowlaną. Uczę się bardzo dobrze. Wy mi możecie pomóc. Chciałbym się dostać do Liceum Morskiego w Szczecinie, ale listownie tego się nie da załatwić. Niektórzy załatwiają sobie po znajomości. Ale ja jestem pechowy i wiem, że nie załatwię sobie miejsca w Liceum Morskim. Chcę więc pracować u Was. Chcę zrobić kurs marynarza. Przysięgam, że będę najlepszym Waszym pracownikiem.

Wiem, że nie ma hoteli. Ja chcę zrobić sobie kurs w czerwcu na wakacjach. Miesiąc szybko zleci. Może będę mieszkał w kajucie jakiegoś okrętu, a może na dworze pod mostem, ale ja będę musiał zdać w czerwcu ten miesięczny kurs.

Szymon Wrona

Wysłał blisko 70 listów podobnej treści. Na jego ofertę podjęcia nauki lub pracy na morzu wszystkie instytucje odpowiedziały: „nie!”.

No, niezupełnie. Jego upór wywołuje zainteresowanie dziennikarza „Kurieria Szczecińskiego”. Przyjeżdża do Szymona, by przekonać go, że nie wystarczy miesięczny kurs na zdobycie zawodu marynarza. Opowiada o tym, że rówieśnicy Szymona z Wybrzeża, wcale nie pragną wiązać się z morzem za wszelką cenę. I o rozczarowaniach. Słowa nie pomagają na „morską chorobę” i dziennikarz musi uwierzyć w upór w dąże-

niu do celu młodego instruktora. Idzie tropem jego listu, odkrywając nieprawidłowości w działaniu biurokratycznej maszyny. Mogły one stereotypowym załatwieniem sprawy przekreślić jego pragnienia i nadzieje.

Artykuł staje się dla Szymona dowodem złyj woli losu i ludzi.

Jeszcze raz upragnione morze było bardzo blisko. Na list i interwencję dziennikarza reaguje Główna Kwatera ZHP. Z jej polecenia komenda chorągwi załatwia zamustrowanie na „Dar Pomorza”. Jedynym obowiązkiem Szymona jest przeprowadzenie wymaganych przed rejssem badań. Nie skorzysta z tej oferty. Bez wyjaśnień zgłasza się ochotniczo do wojska, przerzucając na jednostkę odpowiedzialność za podjętą decyzję. Nie rezygnuje z pisania. Dla podtrzymania wiary w siebie i w innych w niesłabnącą siłę dotychczasowych marzeń zarzuca kancelarię wojskową prośbami o przeniesienie do Marynarki Wojennej. Komisja nie kwalifikuje go do tej służby. Odpowiedzi na kolejne listy są również negatywne. Gaśnie ostatnia iskra nadziei.

HARCERSTWO, DRUGĄ MIŁOŚĆ

Pierwszy list do harcerskiej poradni przysłał przed pójściem do wojska. W korespondencji już nie wspomina o pasji do morza, choć często jeszcze używa w treści marynistycznych przenośni:

Poświęciłem się harcerstwu. Wszystkie swoje umiejętności, marzenia związałem z organizacją. Pokochałem harcerzy całym sercem. Byłem twardy i zawzięty, jak trzeba być twardym i zawziętym przy zwalczaniu morskich sztormów. Ale ja nie przeżyłem ciężę osobistych sztormów. Gdy pracując w organizacji, osiągnąłem sukcesy i żądałem uznania niezaprzeczalnych zasług, spotkał mnie zawód. Czuję się czysty jak kryształ. Chciałem się dalej uczyć, udowodnić wszystkim, że nie jestem gorszy od nich, ale teraz po co, dla kogo?

W małym miasteczku dobrze działające harcerstwo nie ma równego sobie partnera, zostawiając w „pobitym polu” pozostałe formy spędzania wolnego czasu. Dla aktywnego instruktora to wdzięczny teren do działania, a Szymon jest niesamowicie ambitny, spragniony sukcesów i gotów na wszystko, by zwrócić na siebie uwagę.

Nie orientuje się w harcerskiej metodyce. Ma luki w podstawowych wiadomościach. Harcerstwo zna z kilku dobrych obozów i przypadkowego wyjazdu na kurs drużynowych HSPS do Oleśnicy. Ten ostatni wywiera na nim ogromne wrażenie.

Umiejętnie i z wyczuciem korzysta z dotychczasowych doświadczeń. Wie, że bierność i naśladownictwo są wrogami sukcesów:

Przed obozem bałem się funkcji drużynowego. Pierwszy raz miałem ją pełnić i bałem się, że jej nie podołam, że nic nie potrafię. Pozostali funkcyjni byli starsi, z dłuższym stażem. Fachowcy. Podśmiewali się ze mnie, ponieważ jeszcze rok temu byłem u nich zwykłym harcerzem. W mojej drużynie były dziewczęta i chłopcy w wieku 14–18 lat, z różnych okolicznych miasteczek i wsi. W tym czasie, gdy inni uczyli teoretycznie musz-

try i regulaminów, ja z harcerzami biegałem w terenie, prowadząc zajęcia w marszu, przeplatając je piosenką i płasem. Gdy oni po prostu zwiedzali okolicę, ja robiłem krótkie gry terenowe, wykorzystując do nich znaki patrolowe.

Nie mieli sobie równych: byli najlepszą drużyną na obozie, wygrali współzawodnictwo, bieg patrolowy, dominowali na zajęciach i ogniskach. Odnosił sukces. Mimo nierównego startu był lepszy od faworytów. Młodzież garnie się do niego. W następnym roku chce z nim jechać na obóz 82 harcerzy!

Wspomina jeszcze Rajd Kopernikański, w którym również zajęli pierwsze miejsce i zdobyli puchar. Szczepowa płakała ze szczęścia, a dyrektor szkoły gratulował im sukcesu na uroczystym apelu.

Jeden z komendantów, wykorzystując niewiedzę Szymona, proponuje mu funkcję na obozie w zamian za „podharc mistrza PL” (sic!). Stopnia oczywiście nie dostaje, ale propozycja rozbudza w nim potrzebę uznania przez awans, stopień, przydział munduru. Dostrzega, że sukcesy nie idą w parze z nagradzaniem. Akurat w szczepie zmienił się komendant. Młodzież przechodzi do ósmej klasy i mniej zależy jej na pracy w harcerstwie. Nie rezygnuje z niej całkowicie ze względu na ocenę ze sprawowania. Często zamiast przekonywania o słuszności i celowości określonych działań kazano im coś wykonać itp. Nie walczy z przeciwnościami i trudnościami, po co? Bez „pleców” i poparcia nie ma żadnych szans.

Zmienia szczep. Z zadowoleniem odnotowuje, że po jego odejściu rozsypuje się poprzednia jednostka. Mimo wszystko przekonuje się, że bez niego szczep nie może działać:

Dopóki byłem zastępcą komendanta, drużyny w szkole pracowały. Gdy odszedłem, wszystko runęło. Na zbiórki nikt nie chodził. Szczepowa liczyła tylko na mnie.

Chwilę później dodaje:

[...] załatwiłem drużynie legitymacje Miłośników Klubu Morza. Harcerze bardzo się ucieszyli i powiedzieli, że nie będą chodzić na zbiórki, gdy mnie nie będzie (wojsko). Będę starał się wyjść wcześniej z wojska i dać z siebie tyle, by szkoła (szczep) znów poszła w górę.

W każdej dziedzinie życia i na każdym jego etapie osiągał sukcesy: był wzorowym uczniem, dobrym instruktorem, cenionym żołnierzem (najlepszy sportowiec w jednostce), a jednak nie dostrzega tych osiągnięć, nie wierzy w siebie i w swoje możliwości. Cierpi na kompleks urody, wykształcenia, własnej wartości i przerost ambicji. Nie potrafi cieszyć się drobiazgami. I chociaż nikt nie mówi, że jest gorszy, chce być lepszy od wszystkich. Za każdą cenę.

Co dalej?

Rozmawiam o Szymonie z jego byłą przyboczną, szczepową i komendantką hufca. W jednym moi rozmówcy są zgodni – to dziwny człowiek. W zasadzie trudno mu coś



zarzucić, jest: solidny, porządny, grzeczny, uczynny, ale bez podejścia i inicjatywy. Trochę fantasta. Ma manię pisania. Pełen zapалу, chęci, chciałby wszędzie być i wszystko robić, ale ma również słomiany zapal. Imponuje mu mundur. Sam nie bardzo wie, co chciałby robić. Szczepowa twierdzi, że jest jednym z najlepszych drużynowych, solidnym, pełnym inwencji i przygotowującym się do zbiórek (na tym terenie to rzadkość). Po prostu żyje harcerstwem.

W hufcu jego pracę oceniają bardziej sceptycznie. Owszem, Szymon chciałby otrzymać wyższy stopień, mundur, ale po pierwsze, najpierw musi się czymś wykazać, a po drugie – nie wiedzą, na jak długo starczy mu zapalu, zwłaszcza że jest teraz w wojsku i w tej sytuacji nie mogą dać munduru. Tym bardziej że chętnych jest więcej.

Jedno jest pewne, Szymon wymaga indywidualnego podejścia i zainteresowania, a kto dziś ma na to czas? Kontakt z poradnią podtrzymuje go na duchu w cięższych chwilach, gdy myśli o samobójstwie lub doprowadza do ruiny własne zdrowie. Powoli zaczyna dostrzegać uroki życia, sam stwierdza, że trzeba podejść do niego z rozsądkiem i rozwagą. W przyszłości zamierza skończyć kurs instruktora wychowania fizycznego, pracować w szkole, jednocześnie uczyć się w technikum wieczorowym i prowadzić... zbiórki.

Z jednego tylko nie chce zrezygnować. Nadal wierzy, że „prywatne harcerstwo” rozwiąże wszystkie problemy występujące w organizacji.

Jak przekonać go o tym, że jest to niemożliwe...?

30 marca 1980 roku

Ale niech się ktoś taki
zaangażowany pojawi
w naszym otoczeniu. Już
my mu wybijemy z głowy
te jego chimery!



za putra



NR 23 (1085)

8 CZERWCA 1980 r.

ROK XXX CENA 2,50 zł

CIĄG DALSZY ZE STR. 1
„W nagrodę za dwuletnią i ofiarną pracę w ZHP p. hm. Jerzy Gach został wyróżniony, jako jedyny przedstawiciel apockiego hufca, na zorganizowany w Warszawie z okazji 30-lecia PRL Zlot Młodzieży.”

Efekt pracy skłaniał Jurka do myślenia o samodzielnym obozie szczerpu. Dotychczas jego harcerze stanowili uzupełnienie stanów osobowych obozów innych szczerpów lub hufca. Nie miał doświadczenia w prowadzeniu obozu. Do realizacji marzeń próbował nakłonić dyrektora szkoły, nauczycieli lub kogóż ze znajomych instruktorów. Bez rezultatu. Instruktorzy hufca prowadzili własne obozy, a wszyscy pozostali wy-mawiali się obowiązkami zawodowymi lub rodzinnymi. W tej sytuacji postanowił działać na własną rękę.

KŁOPOTY

Tak naprawdę nikt nie wierzył, że uda mu się załatwić wszystkie formalności. Ale Jurek był konsekwentny i chociaż poruszał się w gąszczu spraw po omacku, bez harmonogramu i pomocy zwierzchników, postawił na swoim. Wybrał odpowiedni teren, załatwił zapotrzebowanie i sprzęt dla obozu, podpisał niezbędne umowy oraz zorganizował obywatelską akcję zbiórki makulatury, z której szczerp uzyskał dodatkowo 2000 zł na cele obozowe. Jego poczynania prześledził kadra hufca. Jej zdaniem, funkcje komendanta obozu mógł pełnić tylko doświadczony i odpowiedzialny nauczyciel. Student-instruktor w stopniu podharcemistrza nie budził zaufania.

To wtedy zrodziła się w hufcu koncepcja powierzenia funkcji komendanta komuś z zewnątrz (spół szczerpu) i jedynie brak kandydata nie doprowadził do jej realizacji. Ouburzenie Jurka osiągnęło apogeum. Wreszcie, mimo ogólnej dezaprobaty, z narzuconym przez hufce w skład kadry nauczycielem (doradcą d/s wychowawczych), został zatwierdzony na funkcję komendanta.

Brak było kadry. Mógł liczyć tylko na jednego instruktora ze szczerpu. Pozostali byli zbyt młodzi. Kolega ze szczerpu zaproponował Jurkowi swojego brata na kwaterymistrza. W ten sam sposób skompletował pozostałą kadry. Odetchnął z ulgą. Nie na długo.

Nagle, jeszcze przed obozem, otrzymał od kierownika list, a w nim zwrot umowy. Ouburzo, pojechał do niego, ostrzegając przed konsekwencjami, związanymi z zerwaniem umowy. Przyjął ją z powrotem.

Kłopoty zaczęły się ponownie od pierwszego dnia obozu. Kucharka jednak zignorowała umowę i wychylała do kuchenki. Stuosobowa grupa harcerzy i instruktorów zdana była na własne

wyobrażeń, a nie taki, jaki jest i dlatego został sam wobec problemów, pozabawiony pomocy kadry, która nie chciała podporządkować się „szczeni-kowi”.

BĘDZIE STRASZNA ROZRÓBA

W hufcu tymczasem z radością przyjmowano wiadomości, potwierdzające przedobowozne obawy i opinie. Bez sprawdzenia niepokojących wieści i plotek przygotowane pismo zwalniające Jurka z funkcji i mianujące na jego miejsce, dotychczasowego doradcę do spraw wychowawczych. Najgorszy nauczyciel był lepszy od instruktora z dobrymi referencjami.

19 lipca drugą Anna Kowalska zastała po powrocie do domu list następującej treści:

„Aniu! Bardzo proszę wręczyć pismo

SPRAWY INSTRUKTORSKIE

Przez pozostałe 17 dni prowadził liczne zajęcia i imprezy. Harcerze nie siedzieli w namiotach, Nie nudził się. Do końca nie można było Jurkowi nie zarzucić.

Niezupełnie. W następnych dniach oboz przedzielił serię wizytacji. Opowiadał Ani o jednej z nich, kiedy to podczas „neptunali” wartownicy zatrzymał przy braniu komendantkę chorągwi. Jurek w tym czasie występował w roli „Neptuna” i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby przetrwać zajęcia z harcerzami i biec wstążkę gości. Wizytatorzy nie lubią czekać. Uznali zatem zabawę za brak laku i porządku na obozie. Po stwierdzeniu balaganu w dokumentacji ocenili oboz, jako najgorszy w chorągwi

„Aniano kontrolę, ograniczono samodzielność i inicjatywę. Ci sami dyktatorzy, którzy wcześniej witali go z uśmiechem, teraz rozkładali bezradnie ręce. Pod presją sytuacji, zakulisowych intryg czy zwykłych rad składał rezgnację. W macierzystej komendzie hufca robiono wszystko, by nie dać Jurkowi szansy na „odkupienie winy”.

W związku z tym, że druh rozpoczął rekrutację harcerzy ze szkół społecznych na oboz letni bez porozumienia się z komendą hufca i komendantami szczerpów, informujemy, że zgodnie z decyzją rady i komendy hufca został druh pozbawiony prawa prowadzenia obozów na okres 3 lat. W związku z tym komenda hufca poleca wycofać karty kwalifikacyjne rozdane dotychczas harcerzom i zaprzestować wszelkich działań poczynając przy organizowaniu Akcji Letniej bez porozumienia nie z komendą hufca. Do wiadomości: Wydział Oświaty w Sopocie, Komenda Chorągwi w Gdańsku, KH Gdańsk-Srodmieście, dyrektorzy szkół w Sopocie, Państwowa KH Zdzisław Rukowski.”

Niezbyt konsekwentnie. Zakaz działał na jedną stronę zawsze wtedy, gdy Jurek próbował samodzielnie zorganizować oboz czy zimowisko i uodowodnić, że od początku do końca potrafił być bez problemów poprowadzić. Bezpośrednim zwierzchnikom lub jemu przypominano o zakazie, albo z „niewiadomymi przyczyn” rodzice wycofywali karty obozowe harcerzy.

Zakaz przetrwał obowiązywał w chwili, gdy brakowało kadry. Chyba tylko dlatego udało się Jurkowi poprowadzić w 1979 r. oboz, który uzyskał dobrą ocenę wizytatorów: świetna kadra, zadowolona młodzież i rodzice. Ale już w ubiegłym roku mimo minicela czasu działania zakazu nie otrzymał zezwolenia na prowadzenie obozu. Podobno w komendzie chorągwi nie wyrażano się pozytywnie o jego kandydaturze na funkcję komendanta.

Zmienił się dyrektor szkół, szczerpów, komendanta hufca. Jednak każdy nowy dziedziczył po starym uprzedzenia i antypatie.

Głównym do trumny Jurka okazał się zorganizowany przez niego w styczniu b.r. Srodmiozdrowowski Festiwal Piosenki Harcerskiej „Złoty Róg 89”, a ściślej notatka o nim („Złoty Róg” nr 48 z dn. 2.XII.1979 r.). Komendant hufca w rozmowie ze mną przyznał, że miał z tego powodu nieprzyjemności ze strony komendy chorągwi. Dyrektor szkoły postąpił bardziej indywidualnie. Początkowo przenośny inicjatywę Jurka odnowił udzielając wyświeślanej obiecani noclegów, później — przyznaje — podstępem odebrał Jurkowi niezapłacone



Jurkowi Gachowi! L.G. i załatwo wszystkie sprawy na tym obozie, co nie da, bo będzie straszna rozróżba. My przedzieliśmy po niedzieli i dogramy co by uszykować gęsto. Zobowiązuję Cię jako członka KH do załatwienia wszystkiego w moim imieniu, bo nie mogę dziś, ani jutro przyjechać, gdyż dziś wieczorem wracając dzieci z kolonii żuchowej. Przetrzymam, że wykorzystując Cię do załatwienia tak nieprzyjemnych spraw i z góry dziękuję za załatwienie. Zdzisław.” Im wyższa funkcja, tym większy dystans od nieprzyjemnych spraw. Zawiesz znaleźć się ktoś kto może załatwić je za nas. Nieporozumienie było drugie. Zdzisław nie zając z funkcji instruktora, któremu miesiąc wcześniej wydała wspaniała opinia.

Odsuśkałem drugą Anię. Nie miała

(jedynie do programu nie mieli zastrzeżeń).

„Nie działuję się — dodaje drugą Anna, że tak było. Oboz, według Jurka, był dla harcerzy i on dnia nie pracował. To był instruktor, który nie zostawiał młodzieży, nie rzucał zajęć, by pokłonić się komendantce i zaprzestać wizytację na kuchnię. Może ktoś inny rozstrzygał to inaczej, ale on uważał, że ważniejszą harcerze i za to pochwalilibym go, a nie gościa.”

KONFLIKTY I INTRYGI

Wśród instruktorów hufca wrzało od plotek o nieudanym obozie. Przeważały opinie, że w konsekwencji, na wniosek rady hufca i komendy chorągwi, Jurek straci stopień instruktorski i zostanie zwolniony z funkcji. Nie wytrzy-

Nie wierzę we współczesnych Syzyfów, ale przed nim musiałem skapitulować. Siedzieliśmy obok siebie tak blisko, że w każdej chwili mogłem dotknąć ręki sprawdzić jego istnienie.

Nieprawdopodobne – myślałem – wręcz nieprawdopodobne, by człowiek zdany na łaskę i niełaskę otoczenia, uwikłany w sieć intryg i konfliktów, bez prawa głosu i obrony, wytrzymał narastające przez sześć lat ciśnienie niechęci i nadal chciał pracować z młodzieżą.

Już nie mógł. Teoretycznie jest instruktorem hufca Sopot. Praktycznie nie może prowadzić żadnego szeregu ani uczestniczyć w jakimkolwiek obozie. Decyzji tych nie znajdziemy w żadnym rozkazie, ale wiedzą o nich wszyscy, od szeregowych po inspektora oświaty. Aż trudno uwierzyć, że jest to efekt wydarzeń, które rozegrały się pięć lat temu...

UWIERZYĆ W SIEBIE

Rok 1974 nie wróżył druhowi Jerzemu Gachowi żadnych kłopotów. Młody, pełen inicjatywy i pomysłów instruktor mógł śmiało patrzeć w przyszłość. I działać. Z entuzjazmem rzucił się w wir pracy harcerskiej, szukając w niej potwierdzenia własnej wartości i przydatności. Nie liczył na szczęście czy przypadek. Postanowił spróbować w „trójce” (Szkoła Podstawowej nr 3). Szkoła i drużyna nie cieszyły się najlepszą opinią środowiska, stąd ciągła rotacja i brak drużynowych. Żaden instruktor nie wybrałby świadomie i dobrowolnie tej szkoły; już to było nietypowe w decyzji Jurka.

Kadrę hufca bardziej zdumiał fakt, że Jerzy zdecydował się prowadzić drużynę, będąc w klasie maturalnej, a więc w okresie, kiedy wielu instruktorów bierze urlopy bądź całkowicie rezygnuje z pracy w organizacji. Nalegał, zapewniając, że w pełni prze-myślał swoją decyzję.

Został drużynowym. Nie czas i miejsce na opisywanie codziennych zajęć, wystarczy dodać, że drużyna okrzepła, wzrosła liczebnie, zwracając na siebie uwagę otoczenia swoją pracą.

Mam przed sobą dwie opinie z tego okresu. Obie pozytywne. Nie mogę ich pominąć. W sprawie, której kulisy nie wystawiają pozytywnej oceny sopockim instruktorom i wychowawcom, każdy fakt i słowo są niezmiernie ważne.

Jurka poznałam przez jego siostrę – wspomina drużna Anna Kowalska, były członek i komendant hufca, a zarazem jedyny bezstronny świadek wydarzeń sprzed lat. – Bardzo mi pomógł. Nikt nie potrafił tak jak on skupić wokół siebie harcerzy. Umiał bawić się z nimi i dostosować się do ich poziomu oraz wykorzystać swoją pozycję dla osiągnięcia celów wychowawczych. Młodzież przepadała za nim i mało kto mógł mu dorównać w pomysłach.

Opinia z hufca, wydana przez ówczesnego zastępcę komendanta, drużną Zdzisławę Rutkowską, potwierdza słowa Ani. W podsumowaniu czytamy:

W nagrodę za długoletnią i ofiarną pracę w ZHP phm. Jerzy Gach został wytypowany, jako jedyny przedstawiciel sopockiego hufca, na zorganizowany w Warszawie z okazji 30-lecia PRL Zlot Młodzieży.

Efekty pracy skłaniały Jurka do myślenia o samodzielnym obozie szczepu. Dotychczas jego harcerze stanowili uzupełnienie obozów innych szczepów lub hufca. Nie miał doświadczenia w prowadzeniu obozu. Do realizacji marzeń próbował nakłonić dyrekcję szkoły, nauczycieli lub kogoś ze znajomych instruktorów. Bez rezultatu. Instruktorzy hufca prowadzili własne obozy, a wszyscy pozostali wymawiali się obowiązkami zawodowymi lub rodzinnymi. W tej sytuacji postanowił działać na własną rękę.

Kłopoty

Tak naprawdę nikt nie wierzył, że uda się Jurkowi załatwić wszystkie formalności, ale on był konsekwentny i chociaż poruszał się w gąszczu spraw po omacku, bez harmonogramu i pomocy zwierzchników, postawił na swoim. Wybrał odpowiedni teren, załatwił zaopatrzenie i sprzęt dla obozu, podpisał niezbędne umowy oraz zorganizował olbrzymią akcję zbiórki makulatury, z której szczep uzyskał dodatkowo 2000 zł na cele obozowe. Poczynania Jurka przerażały kadrę hufca. Jej zdaniem, funkcję komendanta obozu mógł pełnić tylko doświadczony i odpowiedzialny nauczyciel. Student-instruktor w stopniu podharcemistrza nie budził zaufania.

To wtedy zrodziła się koncepcja powierzenia funkcji komendanta komuś z zewnątrz (spoza szczepu) i jedynie brak kandydata nie doprowadził do jej realizacji. Oburzenie Jurka osiągnęło apogeum. Wreszcie, mimo ogólnej dezaprobaty, z narzuconym przez hufiec w skład kadry nauczycielem (doradcą ds. wychowawczych), został zatwierdzony na funkcję komendanta.

Brakowało kadry. Mógł liczyć tylko na jednego instruktora ze szczepu. Pozostali byli zbyt młodzi. Kolega ze studiów zaproponował Jurkowi swojego brata na kwatermistrza. W ten sam sposób Jerzy skompletował pozostałą kadrę. Odetchnął z ulgą. Nie na długo.

Nagle, jeszcze przed obozem, otrzymał od kucharki list, a w nim zwrot umowy. Oburzony, pojechał do niej, ostrzegając przed konsekwencjami związanymi z zerwaniem umowy. Przyjęła ją z powrotem.

Kłopoty zaczęły się od pierwszego dnia obozu. Kucharka jednak zignorowała umowę i wyjechała do krewnych. Stuosobowa grupa harcerzy i instruktorów zdana była na własne siły. Na domiar złego kwatermistrz nie znał swoich obowiązków. Prowiant kupował od przypadku do przypadku i w dowolnych ilościach. Na pierwszy obiad jedli makaron zmieszany z cukrem i masłem. Później nie było lepiej. W tych trudnych dniach stawka dzienna na uczestnika nie przekraczała 5 zł. Jurek natychmiast rozpoczął poszukiwania nowej kucharki. Po kilku dniach znalazł kobietę, którą wzruszyła rozpaczliwa prośba o ratowanie stu wygłodzonych dzieci. Najwyższy czas – do domów szły pierwsze alarmujące listy z obozu. Później komendantka hufca zwróciła Jurkowi uwagę, że powinien je zatrzymywać, czytać i wysłać dopiero z tymi, w których dzieci będą pisały dobrze o obozie. Nie wpadł na tę genialną myśl.

Do zmartwień żywnościowych doszły kłopoty z kadrami. **Instruktorzy od początku ignorowali Jurka**. Nauczyciel, który miał być jego doradcą ds. wychowawczych, traktował obóz jak wczasy. Pod względem etycznym jego zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Inni również spędzali czas według własnego uznania, a ich nocne zabawy (niezgodne z dziesiątym punktem Prawa Harcerskiego) doprowadzały Jurka do pasji.

Był bezsilny i bezradny wobec ilości problemów, obojętności i ignorancji kadry. Nie umiał niczego egzekwować od ludzi starszych od siebie, kontrolować ich czy karać. Wydawało mu się, że dobro dziecka i wymarzona, pielęgnowana latami wizja obozu są ich wspólnymi celami. Naiwny! Padł ofiarą własnej postawy i oczekiwań ukształtowanych w dotychczasowym życiu i działalności w organizacji. Nie wkalkulował w nie realiów otaczającej go rzeczywistości, postępował tak jakby świat był taki, jaki powinien być według jego wyobrażeń, a nie taki, jaki jest, i dlatego został sam wobec problemów, pozbawiony pomocy kadry, która nie chciała podporządkować się „szczeniakowi”.



BĘDZIE STRASZNA „ROZRÓBA”

Tymczasem w hufcu z radością przyjmowano wiadomości potwierdzające przedobozowe obawy i opinie. Bez sprawdzenia niepokojących wieści i plotek przygotowano pismo zwalniające Jurka z funkcji i mianujące na jego miejsce dotychczasowego doradcę ds. wychowawczych. Najgorszy nauczyciel był lepszy od instruktora z dobrymi referencjami.

Dnia 19 lipca druhna Anna Kowalska zastała po powrocie do domu list następującej treści:

Aniu! Bardzo proszę, wręcz pismo Jurkowi Gachowi z L.G. i załatw wszystkie sprawy na tym obozie, co się da, bo będzie straszna rozróżba. My przyjedziemy po niedzieli i dogramy, co by wszystko grało. Zobowiązuję Cię jako członka KH do załatwienia wszystkiego w moim imieniu, bo nie mogę dziś ani jutro przyjechać, gdyż dziś wieczorem wracają dzieci z kolonii zachowawczej. Przepraszam, że wykorzystuję Cię do załatwienia tak nieprzyjemnych spraw, i z góry dziękuję za załatwienie. Zdżisia.

Im wyższa funkcja, tym większy dystans od nieprzyjemnych spraw. Zawsze znajduje się ktoś, kto może załatwić je za nas. Nieporęcznie było druźnie Zdzisławie zdjąć z funkcji instruktora, któremu miesiąc wcześniej wydała wspaniałą opinię.

Odszukałem druha Anię. Nie miała i nie ma wątpliwości, że Jurka skrzywdzono. „Należało mu pomóc – mówi – a nie usuwać z funkcji. Co on miał zrobić? Co my zrobilibyśmy na jego miejscu?”.

Retoryczne pytania. Los nas oszczędził, a może byliśmy większymi od Jurka realistami, by przeszczepiać na grunt harcerski wizje szklanych domów. On tymczasem przegrywał bezpowrotnie swoją przyszłość.

Polecono mi mianować komendantem nauczyciela – kontynuuje druha Ania. – On nie tylko nie miał nic wspólnego z harcerstwem, ale był człowiekiem zupełnie nieodpowiedzialnym. Jurkowi wręczyłam zwolnienie. Płakał jak dziecko. Pozbawiłam go funkcji w chwili, gdy panował już nad sytuacją. Gorzej, bo nikt inny się na nią nie nadawał. Tam nie było kadry. Kwatermistrz, przestraszony na przedobozowej odprawie w hufcu odpowiedzialnością i paragrafami, bał się wydać każdą złotówkę. Kierownicą była dziewczyna, która wstawiała o 9.00 i robiła łaskę, że jedzie po prowiant, a powinna to być pora konsumpcji śniadania.

Trudno winić Jurka, że nie miał wpływu na kadre. Oni utworzyli przeciwko niemu silną opozycję. Buntowali kadre młodzieżową. Z nich wszystkich tylko on myślał o młodzieży, prowadził zajęcia, przeżywał, poświęcał się i angażował w nie. Przeciwko decyzji komendy hufca zbuntowała się część kadry młodzieżowej. Znałam już sytuację na tyle, że mogłam ze spokojnym sumieniem, na własną odpowiedzialność mianować Jurka ponownie na funkcję komendanta. Przez kilka dni pomagałam mu egzekwować obowiązki od starszej kadry, a po powrocie do Sopotu wysłałam do pomocy kierowniczkę referatu harcerskiego. Jurek nie zawiódł. Przez pozostałe 17 dni prowadził liczne zajęcia i imprezy. Harcerze nie siedzieli w namiotach. Nie nudzili się. Do końca nie można było Jurkowi nic zarzucić.

Niezupełnie. W następnych dniach obóz przeżył serię wizytacji. Opowiadałam Ani o jednej z nich, kiedy to podczas Neptunaliów wartownik zatrzymał przy bramie komendantkę chorągwi. Jurek w tym czasie występował w roli Neptuna i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby przerwać zajęcia z harcerzami i biec witać gości. Wizytatorzy nie lubią czekać. Uznali zatem zabawę za brak ładu i porządku na obozie. Po stwierdzeniu bałaganu w dokumentacji ocenili obóz jako najgorszy w chorągwi (nie mieli zastrzeżeń jedynie do programu).

Nie dziwię się – dodaje druha Anna – że tak było. Obóz, według Jurka, był dla harcerzy i on dla nich pracował. To był instruktor, którzy nie zostawiłby młodzieży, nie rzucił

zająć, by pokłonić się komendantce i zapraszać wizytację na kawkę. Może ktoś inny rozegrałby to inaczej, ale on uważał, że ważniejsi są harcerze, i za to pochwaliłabym go, a nie ganiła...

Konflikty i intrygi

Wśród instruktorów hufca wrzało od plotek o nieudanym obozie. Przeważały opinie, że w konsekwencji, na wniosek rady hufca i komendy chorągwi, Jurek straci stopień instruktorski i zostanie zwolniony z funkcji. Nie wytrzymał nerwowo atmosfery plotek i szeptów. Tydzień po obozie wysłał obszerną pisemną rezygnację do komendy hufca, chorągwi i naszej redakcji. Opisał w niej wszystkie fakty, dodając w zakończeniu: „Wrogość wszystkich wymienionych osób zabiła we mnie na zawsze zapał i chęć do dalszej pracy w ZHP. Z żalem i rozgoryczeniem zdecydowałem się opuścić organizację, w której praca dawała mi wiele satysfakcji”.

Chorągiew zareagowała natychmiast, zawiadamiając zainteresowanych, że sprawa zostanie rozpatrzona.

Jurek coraz częściej jednak żałował pochopnie podjętej decyzji i z początkiem roku harcerskiego podjął pracę z drużyną.

W hufcu tymczasem nie próżnowano. Za rażąco negatywną postawę nauczyciela ds. wychowawczych wystąpiono do dyrekcji szkoły, w której pracował, o udzielenie mu nagany. Jurka potraktowano ostrzej.

Zupełnie przypadkowo dowiedział się, że na jednym z posiedzeń rady hufca, w obecności przedstawiciela komendy chorągwi, rozpatrywano jego sprawę i w konsekwencji pozbawiono prawa prowadzenia obozów przez 3 lata. Pozostałej kadry nikt nie rozliczył z jej postaw. Zaocznie wydany wyrok, bez prawa głosu i możliwości obrony, zaważył na jego przyszłej pracy w ZHP.

Przez ostatnie 5 lat Jerzy Gach czterokrotnie przechodził z hufca do hufca, ze szkoły do szkoły. Schemat postępowania był zawsze ten sam. Niski poziom rozwoju harcerstwa powodował, że przyjmowano go początkowo bardzo życzliwie, z otwartymi ramionami. Najczęściej otrzymywał funkcję zastępcy komendanta szczepu. Gdy tylko praca szczepu nabierała „rumieńców”, zacieśniano kontrolę, ograniczano samodzielność i inicjatywę. Ci sami dyrektorzy, którzy wcześniej witali go z uśmiechem, teraz rozkładali bezradnie ręce. Pod presją sytuacji, zakulisowych intryg czy życzliwych rad Jurek składał rezygnację. W macierzystej komendzie hufca robiono wszystko, by nie dać Jurkowi szansy na odkupienie „winy”:

W związku z tym, że druh rozpoczął rekrutację harcerzy ze szkół sopockich na obóz letni bez porozumienia się z komendą hufca i komendantami szczepów, informujemy, że zgodnie z decyzją rady i komendy hufca został druh pozbawiony prawa prowadzenia obozów na okres 3 lat. W związku z tym komenda hufca poleca wycofać karty kwalifikacyjne rozdane dotychczas harcerzom i zaprzestania jakichkolwiek poczynań przy organizowaniu Akcji Letniej bez porozumienia się z komendą hufca. Do wiadomości: Wydział Oświaty w Sopocie, Komenda Chorągwi w Gdańsku, KH Gdańsk-Śródmieście, dyrektorzy szkół w Sopocie. Podpisała: hm. Zdzisława Rutkowska.